Nr. 25. Warszawa, dnia 10 (23) Czerwca 1900 r. Rok XX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8. z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 60, rocznie rb. 10.

Adres: Sadowa Nr. 7.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po poładniu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Szan. Abonentów kwartalnych i półrocznych prosimy o wniesienie przedpłaty.

POLITYKA.

W CHINACH.

Wypadki rozwijają się logicznie. Europa nie pozwoliła Japonii wyzyskać zwycięztw, a choćby tylko zakończyć zwycięzkiej kampanii z roku 1894—5, Japonia nie zyskała wpływu, nie wprowadziła Chin na drogę cywilizacyi, którą sama od lat 40 kroczy; Chiny też utraciły przez to możność politycznego odrodzenia się, po którem musiałoby pójść i społeczne; zaduch i pleśń w nich zostały jak były, z przecenianą tylko i więcej dla pozorów, niż dla rzeczy utrzymywaną europejską niby wojskowością i europejskimi zarządami ceł; Europa, nie myśląc o odrodzeniu, które trzeźwa dyplomacya uznała za mrzonkę, wolała pomyśleć o sobie: od końca r. 1895 ustala się już na pomorzach Chińskich systemat poręczeń i dzierżaw, w których prawa dzierżawcy skonsolidują się prędko z prawami właściciela; z pomorzy inżenierowie europejscy budują koleje; w głąb niezmierzonych obszarów dostanie się niemi towar, ale dostanie i żołnierz europejski: zadanie kształtuje się tak, jak po odsadzeniu Japonii ukształtować się musiało.

I po drugiej stronie wszystko iskrzy się od logiki. Społeczeństwo, cała bryła społeczeństw na 700,000 mil. właściwych Chin nie drgnęła jednym nawet porywem ku przyszłości, ku przekształceniom dającym odrodzenie. Po stłumieniu powstania Taipingów w tej bryle zapanował bezwład starych nałogów, które wiek swój liczą już na 4 tysiące lat. Chiny stały się napowrót narodem o jednem tylko stronnictwie ogólnie - narodowem, nałogami przeżartem, i stąd pod zachowawczem, bo nie chcącem wyrzec się swych nałogów. Młody cesarz, który w tej nieszczęsnej dla Chin chwili objął rządy, miał jakiś zapęd a przynajmniej oskomę reformatorską. Gdy Japonia już po pokoju w Simonoseki (maj 1895 r.) dawała tym dążnościom, czy też tylko apetytowi, podniętę dyplomatyczną—gotów był pójść za jej radami; ale wtedy zachowawcy, nałogowi pijacy, pychą wielkości, nieomylności i doskonałości narodowej nalani, znaleźli cesarzową matkę: ta wydarła rządy z rąk jakoby „niedołężnego, bardzo chorego i konającego już prawie" cesarza i zatrzymała we własnych, silnych i zdrowych i od skonania dalekich. To powodzenie wydało z siebie dalsze ruchy. Wytworzyło się stowarzyszenie „kułaka," skierowane przeciwko cudzoziemcom, których już widziano osiedlających się spokojnie na nieswojej ziemi, i przeciwko reformom cudzoziemskim, które patryotyzm, z fałszywej już strony patrzący, na objawy zewnętrzne za wrogie narodowi uznać nakazał. Są to „bokserowie" telegramów.

Miało to stowarzyszenie rozszerzyć się aż do południowych krańców państwa, a siłę jego obliczano na miliony, do dziesięciu; na pewne jest ono w północnych i środkowych prowincyach, a będąc wykwitem tego patryotyzmu, do którego nie potrzeba żadnego zgoła wytężenia, ani nawet nakładu sił — zyskał tłumy całe zwolenników w większych ogniskach życia. Szerzyć się mógł tem łatwiej, że mu dopomagał rząd, mając w nim niejako swe dopełnienie i spodziewający się znaleźć w nim sprzymierzeńca. Największym obłędem tej urzędowej zachowawczości chińskiej było przeoczenie niebezpieczeństwa, które groziło, nie od japońskich, czy europejskich reform, ale od europejskiej logiki dokonywanych faktów. Kto ma cośkolwiek, chce mieć zaraz więcej, a kto raz wszedł, ten już dobrowolnie nie wyjdzie. Z tem naturalnem prawem życia igrał rząd chiński, jak dzieciak. Zamiast podżegać masy przeciwko cudzoziemcom, misyonarzom, szkołom i kupcom, obowiązkiem jego było jak największymi nakładami i wysilkami, jak najdalej od oczu europejskich — organizować i ćwiczyć jak najwięcej wojska tą ferułą, jaką dały już dawniejsze zaciągi oficerów europejskich, i pod wszelkimi względami podnosić się militarnie. To był pierwszy obowiązek, pierwszy nakaz życia. Nie spełniono go, a dając zachętę wielkim i małym kułakom wszelkiego rodzaju, sprowadzono niebezpieczeństwo tak groźne, że

już tylko rozbieżność żądz i sił europejskich może Chiny od niego ocalić.

Po napadach na kupców, na misyonarzy i urzędników europejskich — zabrał się wreszcie kułak do kolei żelaznych, budowanych przez Europę, a uczynił to zrazu w prowincyi Szangtung, potem już w samej cesarskiej Czyli. Wtedy zbrakło Europie cierpliwości: zrobiła z Taku wyprawę zbiorową pod Seymourem, jako najstarszym z oficerów marynarki. Gdy jednocześnie rzuciło się pospólstwo w samym już Pekinie na poselstwa europejskie, a urzędnika poselstwa japońskiego zamordowało, gdy komendant w Taku zagrodził drogę wodną po Peiho i wyraźnie wspierał nieprzyjacielskie zamysły nieszczęsnych patryotów pomiędzy Tientsinem i morzem, posłano mu d. 17 b m. *ultimatum*, żądające wydania fortów. Gdy po północy na 18-go odpowiedział kulami, okręty europejskie nie zostały mu dłużne w odpowiedzi: do godz. 7 z rana zbombardowały forty, a w ciągu dnia je osadziły, zabierając nadto jeszcze jeden z okrętów chińskich. Droga do Pekinu otwarta. Seymourowi z dwoma tysiącami już podobno udało się ją przebyć, dalsze wojska potrzebują dwóch tygodni, aby się pod Taku zgromadzić. Zagadnienie najbliższej przyszłości zamyka się nie w pytaniu: czy żołnierz europejski dotrze do Pekinu i czy w nim silną stopą stanie, ale w tem: czy dyplomata europejski jeden z drugim się zgodzi, tak co do sił współdziałających, jak co do korzyści ze współdziałania oczekiwanych. W każdym razie Kułak wyświadczył dyplomacyi europejskiej przysługę: pozwolił dalej poprowadzić rozbiór Niebieskiego Państwa. Zgodzono się podobno na korpus zbiorowy z równych kontyngensów — około 5,000 ludzi każdy. O Japonii doniesiono, że wysyła to 15, to 4, to wreszcie 2 tysiące ludzi: czy wogóle Europa pozwoli jej wysłać choćby jedną kompanię? Pod Taku działali i Japończycy.

Tydzień polityczny. Najświeższe doniesienia w sprawie europejsko-chińskiej ukazują możliwość porozumienia się, w którem najważniejsze będzie współdziałanie Anglii z Rosyą. Wystąpić ma i Austrya, dotychczas jej siła składa się z 21 ludzi, którzy z Seymourem poszli do Pekinu. Nabiera prawdopodobieństwa dopuszczenie Japonii do „wspólnej akcyi."

We Francyi rząd otrzymał nowe *votum* zaufania. Po Boulangerze Marchand, wypędzony przez Anglików z Faszody, ma nadzieję nominacyi na proroka narodowego. Rada municypalna Paryża chciała go mieć na jakiemś odświętnem jedzeniu: minister Andre nie dał mu pozwolenia. Będzie nowa burza. Przynajmniej nie nudno. Naród, jeśli nie najwyższy, to niezawodnie najucieszniejszy.

W Rzymie d. 16 b. m. zebrała się nowa Izba; d. 18 b. m. już Pelloux podał się do dymisyi. Wykryto jakieś sprzysiężenie na życie króla.

BOKSER O CYWILIZACYI EUROPEJSKIEJ.

Dziennik londyński *Daily Express* zamieszcza *interview*, jakie redaktor jego miał z pewnym zamieszkałym w Londynie Chińczykiem, należącym do sekty bokserów. Monolog Chińczyka zawiera między innemi niezmiernie ciekawe poglądy na naszą cywilizacyę. „Cywilizacya Zachodu — mówił pono Chińczyk — wydaje nam się, niby grzyb, co przez noc urósł. Nasza natomiast kultura liczy tysiące i tysiące lat istnienia. Sądzimy też, żeśmy was o 2,000 lat wyprzedzili. Myśmy również przebywali epokę „walki o byt," pogoni za pieniądzem, za władzą, pogoni niczem nie okiełznanej, drażniącej, bolesnej. Myśmy również mieli swoje mądre wynalazki, proch strzelniczy, druk i tak dalej, aleśmy dość długo żyli, aby zrozumieć, że to wszystko jest wcale nie konieczne, a co więcej—niepożyteczne. Mieliśmy również czasy wątpienia, fanatyzmu i walki wyznaniowej; mieliśmy męczenników, reformacye, nietolerancyę, a wreszcie tolerancyę, a wszystko to dawno już, tysiące lat wstecz. Wyrośliśmy atoli z tych spraw. Doświadczenia ubiegłych stuleci, błędy naszych przodków nauczyły nas, że żaden z celów, za którymi uganialiśmy się, nie zasługiwał na to. W ten sposób namiętności nasze i ambicye, dystylowane przez czas, przeobraziły się powoli w ciche pragnienie szczęścia doczesnego, a religia nasza nabrała charakteru filozofii życia, która wytrzymała próbę zwycięzką ostatnich dwu tysięcy lat. Myślimy, że najlepszą w tym świecie jest szczęśliwość i uczymy dzieci nasze, że zdobyć ją mogą tylko przy spełnianiu obowiązków—względem zasad moralności i życia społecznego. Kiedy Chińczykowi wiedzie się lepiej, niż jego krewnym, znajduje najwyższą przyjemność, dzieląc z nimi majątek. My w Chinach nigdy nie przestajemy pracować; jakiegoś wycofywania się z interesów, o czem tak często mówi się w Europie, u nas niema: praca jest czynnikiem naszej przyjemności, albowiem jest częścią naszego obowiązku. Wierzymy, że należy co najlepsze czynić *w tym* świecie, o którym tylko wiemy coś pewnego.

„Wszędzie w Chinach znajdziesz pan tę samą miarę i tego samego ducha zadowolenia. Możecie sądzić, że żyjemy pod panowaniem niewiedzy, brudu i lenistwa; zapewniam pana, że tak nie jest. Czujemy się tak dobrze, jak tego pragniemy, i nikt nam nie może losu poprawić. A wy przychodzicie do nas ze świata waszej zachodniej cywilizacyi—z tem, co nazywacie ideami nowemi. Przynosicie waszą wiarę — dziecko tysiąc dziewięćset lat zaledwie liczące; domagacie się, abyśmy budowali koleje; chcecie, abyśmy niby ptaki latali z miejsca na miejsce, podczas gdy pośpiech taki nie leży w promieniu ani naszej potrzeby, ani naszych pożądań. Chcecie budować fabryki i w ten sposób usunąć nasze sztuki i rzemiosła; chcecie kłujący oczy blichtr tworzyć zamiast naszych pięknych, wypróbowanych przez tysiąclecia obrazów—protestujemy przeciwko temu wszystkiemu, protestujemy przeciwko tym wszystkim zakusom. Chcemy pozostać sami, chcemy w dalszym ciągu wolności, abyśmy mogli spożywać owoce naszych dawnych doświadczeń. Kiedy was prosimy, abyście odeszli, nie

---

W ojczyźnie Boerów.

VI.

Należy nam zajrzeć jeszcze do republiki Orańskiej, która prawem kaduka przestała wprawdzie istnieć, jako wolny kraj (tak przynajmniej głosiły butne odezwy generałów angielskich), mimo to zachowała po dzień dzisiejszy swoją kulturalną odrębność i nie wiadomo wcale czy prędko i tak łatwo przystosuje się do kroju angielskiego munduru.

Tubylcy, po większej części z plemienia Beczuanów, przewyższają liczebnością swoją dwukrotnie Europejczyków. Jak w całej południowej Afryce i tutaj tubylcy zajmują się tem, czem ludność europejskiego pochodzenia zajmować się nie chce: uprawiają ziemię, służą u Boerów za pasterzy i — pozbawieni są wszelkich praw politycznych. Stosunki jednak muszą być znośne, Beczuani bowiem nie skarżą się wcale i naogół są spokojni. Tytułem wynagrodzenia otrzymują przeciętnie 30 szylingów miesięcznie, jak wszędzie atoli, gdzie są pomieszani z białymi, czarni wymierają szybko, siły robocze ulegają stale zmniejszeniu tak, iż specyalne prawo wymaga aby Boer pojedynczo wzięty korzystał z pracy co najwyżej dwudziestu pięciu Kafrów. Biali są pochodzenia holenderskiego i językiem krajowym jest narzecze holenderskie, językiem atoli warstw inteligentnych jest mowa angielska.

Jedynie tylko Bloemfontein, siedlisko rządu, zasługuje na miano miasta; liczy około sześciu tysięcy mieszkańców, w połowie białych; posiada okolicę malowniczą, powietrze czyste i zdrowe, czystość wyjątkową, samorząd miejski doskonały. Miasteczko kąpie się w ciszy i, jak twierdzą, w społecznym błogostanie: niema biednych i niema wcale bogatych; niema przemysłu i niema kapitalistów; niema zatem korupcyi politycznej i niema żądzy władzy; niema wcale partyi; podatki są nizkie i państwo nie ma długów. Godłem państwa jest drzewo pomarańczowe, z obu stron którego znajduje się lew i baranek, a napis głosi: „Wolność, immigracya, wytrwałość, odwaga." Konstytucya jest prosta w 62 krótkich, dobitnych artykułach spisana i składa zarząd kraju w rękach prezydenta Rady administracyjnej i Rady ludowej (Volksraad). Prawo obywatelstwa posiadają wszyscy biali, bądź urodzeni w Oranii, bądź od trzech lat zamieszkali, bądź też od trzech lat posiadający własność ziemską wartości 150 funtów. Prezydent bywa obierany co pięć lat, zasiada bez prawa głosu w Volksraadzie, jest wobec niego odpowiedzialny i rządzi republiką. Rada administracyjna składa się oprócz prezydenta z pięciu członków, a mianowicie: z sekretarza stanu i z burmistrza, których mianuje prezydent i z trzech członków, wyznaczanych przez Volksraad. Ten ostatni bywa wybierany co 4 lata, składa się z jednej izby, w której obecnie zasiada 58 deputowanych, zbiera się raz do roku i jest najwyższą władzą prawodawczą w kraju. Prosta forma rządu zośrodkowuje całą władzę w rękach prawodawcy, tj. Volksraadu. Pomimo to jednak w rzeczywistości najwięcej wpływu wywiera prezydent i, jak dotąd, wpływ ten był stale dobry (Brand 1863—88, Reitz 1888—96 i Steijn od 1896 r.). Do roku 1895 związek pomiędzy Transwalem a Oranią był bardziej duchowej, rasowej natury i polegał na sympatyach wzajemnych, dopiero najście doktora Jamesona skłoniło rządy obu republik do zawarcia sojuszu zaczepno-odpornego; w czasie ostatniej, bohaterskiej walki przeciwko najazdowi angielskiemu Transwal szedł z Oranią ramię przy ramieniu.

* *

Bez względu na przyszłość polityczną, jaką losy, o ile się zdaje, niepewne zgotują republikom południowo-afrykańskim — a nie zamierzamy bawić się w jakiekolwiek bądź horoskopy polityków kuryerkowych — dwie „kwestye" pozostaną otwarte: stosunek białej ludności do czarnej i przyszły rozwój ekonomiczny Afryki południowej.

Kilkakrotnie już w toku opowiadania naszego słyszał czytelnik, że główny ciężar pracy spoczywa w Afryce południowej na barkach ludności czarnej. Należało to już do czynników rozwojowych tego nieszczęsnego kraju, że biali go kolonizowali.

chcecie i, co więcej, grozicie nam zniszczeniem, jeżeli nie oddamy wam naszych portów, naszej ziemi, naszych miast. I dlatego też my, członkowie stowarzyszenia t. zw. bokserów, po długim namyśle przyszliśmy do przekonania, że tylko wtedy pozbędziemy się was, kiedy wszystkich pozbawimy życia. Krwiożerczość nie leży w naszej naturze; kiedy jednak ani prośby, ani odwoływanie się do waszego rozumu i do poczucia sprawiedliwości nie zdały się na nic, nie pozostaje nam nic innego, jak tylko wasza śmierć.

„Zabierzcie sobie waszych misyonarzy! Przychodzą do nas z nową-wiarą, co do której sami między sobą wiodą nieskończone spory. Straszą nasze dzieci i starców i wprowadzają do rodziny przeróżne czynniki niegasnących kłótni. Nie dziwnego tedy, że nie chcemy ich tolerować. Gdybyśmy chcieli posiadać wasze koleje i maszyny, to wszak moglibyśmy je kupić; jednak nie chcemy ich, są nam zbyteczne, nauczyliśmy się żyć bez nich. A jednak mówicie, że zmusicie nas do kupna.

„Wiele hałasu czynicie, że nie jesteśmy żołnierzami. A jednak przestaliśmy być nimi i to dlatego, żeśmy zdobyli cywilizacyę. Wojna jest barbarzyństwem. Że zaś znajdujemy się na szczytach naszej obecnej cywilizacyi, zawdzięczamy to płodności. Pomimo znacznej śmiertelności, która wam się znowu nie podoba, w której my widzimy mądrą opatrzność przyrody, rasa chińska rośnie prędzej, niż jakikolwiek inny naród świata. Gdybyśmy się uparli, moglibyśmy dzięki temu opanować całą pozostałą ludzkość; że tego nie czynimy, przypisać należy doskonałości naszej cywilizacyi, naszej filozofii, naszym obyczajom. Jest nas 400 milionów dusz, któżby odważył się stanąć na naszej drodze, gdybyśmy chcieli dać uczuć potęgę naszą? Czy sądzicie, że nie posiadamy świadomości stanu rzeczy? Przeciwnie, wiemy o tem aż nadto dobrze, i jest teraz rzeczą białej rasy na ziemi zrozumieć, że my jesteśmy panami, a nie oni.

„Chiny wytrzymały huragan dwudziestu szczęśliwych inwazyj, i cóż? Zali przybysze opanowali Chińczyków?— Nigdy, zwyciężeni połknęli, zasymilowali zwycięzców, którzy przeobrazili się w Chińczyków. Spotkało to nawet Żydów, którzy do nas przyszli, a wypadek ten nie ma sobie równego w dziejach ludzkich.

Wiedz pan, że wszystko to, co na Zachodzie dzieli ludzi, nie posiada w Chinach żadnej racyi bytu. Polityka, religia, osobiste ambicye, żądza rozszerzania swoich granic, głód ziemi, głód złota—wszystko to jest w Chinach nieznane. Myślicie, że Chińczyk jest dzieckiem dlatego, że jest leniwy, prosty i lekkomyślny? Mylicie się. Zdobył on tajemnicę szczęśliwego życia, nic mu nie staje na przeszkodzie, o ile tylko czystem jest jego sumienie. A więc pozostawcie nas w spokoju, a my was również nie będziemy niepokoić.“

* * *

Pozostaje tajemnicą, czy uwagi te istotnie spisane zostały ze zwierzeń prawdziwego boksera, albo wogóle Chińczyka. Przechodzimy nad tą wątpliwością do porządku, albowiem w każdym razie skromna znajomość życia chińskiego pozwala dostrzedz w sądach powyższych wiele charakterystycznych, a co więcej słusznych spostrzeżeń zarówno ze stanowiska narodowo-chińskiego, jak i powszechnego.

—ski.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

UNIWERSYTET KRAKOWSKI.

Wspomnienie.

II.

Właśnie od zapewnienia uniwersytetowi teologii rozpoczęło grono mężów, dbałych o oświatę, odrodzenie zamierającej instytucyi. Należeli do niego: Piotr Wąż, wówczas już biskup krakowski (od r. 1392), wysłany przedtem przez Jadwigę na studya do Pragi; Mikołaj z Sandomierza; Stanisław ze Skarbimierza (Skalmierza), ostatni rektor szkoły Kazimierzowej na Bawole, a pierwszy nowej akademii: Jan z Tarnowa; Jan z Tęczyna; Mikołaj z Kurowa, biskup władysławowski (włocławski), kanclerz wielki koronny i inni. Dobry duch Jadwigi owiewał ich usiłowania i w Jagielle wywoływał niezbędne współczucie i współdziałanie. Już w styczniu 1397 r. na prośby obojga królestwa Bonifacy IX z Rzymu dał pozwolenie na wydział teologiczny; mając je, można już było zabrać się do zaopatrzenia umysłowych i moralnych potrzeb z gruntu odnawianej Akademii. Prace konieczne zajęły przeszło trzy lata i Jadwiga nie doczekała uroczystości otwarcia. W rok dopiero po jej skonie, d. 22 lipca 1400 r. szkoła Kazimierza W. *in corpore* pociągnęła na Wawel. Rektor jej na posiedzeniu senatu wysławił troskliwość króla, a po przemówieniu od tronu w szlachetnym zapale przyrzekł, nietyle za siebie, ile za następców swoich, że nowa akademia będzie zaszczytem „całego sarmackiego świata, a nawet całego chrześciaństwa.“ Po tym akcie dziękczynnym nastąpił zaraz drugi: objęcie w posiadanie nowej siedziby. Król zgotował ją Akademii w kamienicy przy ulicy św. Anny, w domu, niegdyś zajmowanym przez Żydów, później własności Ackersdorfa (Gersdorf), przeszłej od niego do Panchwitza, z którego, dodawszy mu imię chrzestne, zrobiono Szczepana *v.* Stefana *Pancerza*; za pieniądze zostawione przez Jadwigę kupiono od niego dom na akademię. Jest to średniowieczne *Collegium majus*, główna wytwórnia światła, które na cały świat sarmacki zlewać się miało. W kilka dni później dopiero, nazajutrz po św. Jakóbie, d. 26 lipca, odbyła się uroczystość inauguracyi. Było to dla Krakowa wielkie święto. Z Wawelu cały dwór, z królem na czele, wyruszył na ulicę Świętej Anny. Długi wąż ciągnął się przez ulicę Grodzką: cały rynek ówczesny był zatłoczony ludem, ciekawi wspaniałego widoku powylegali na dachy, tłoczyli się do okien i sieni. Uroczystość w kollegium zaczęła się od odczytania dyplomu królewskiego. Król tam przypomina swe błędy pogańskie; stwierdza troskliwość o tych swoich dawnych towarzyszów ciemności, których tak niedawno sam przywiódł był na łono świętej matki kościoła, a którzy potrzebują jeszcze utwierdzenia w wierze;

---

nie przezwyczajali się jednak zupełnie do pracy fizycznej. Robotnikiem do roku 1834 był czarny — niewolnik, po tym zaś terminie pozostał nim nominalnie tytułowany — robotnikiem wolnym. Przed 1834 r. Europejczyk nie potrzebował pracować, dziś zaś nie może i nie chce przyzwyczaić się do cięższej pracy. Rzemieślnicy, przybywający dziś tu z Europy, przystosowują się w krótkim czasie do zwyczajów krajowych. Stolarz, idący na robotę, każe sobie murzynowi nosić narzędzia, mularzowi podaje cegłę przy robocie czarny pomocnik. W kopalniach nawet przy zakładaniu min górnik angielski albo australijski zajęty jest tylko przy zakładaniu lontu; łożysko dynamitowe, wymagające pracy, żłobi murzyn; to samo dotyczy gospodarstwa rolnego i pasterskiego. Pasterzami, ratajami są tylko Kafrowie, biały zaś jest ich naczelnikiem. Pewien wysoki urzędnik kolejowy, opowiadał Bryce'owi, że owi wzgardzeni Kafrowie nadają się doskonale na maszynistów itd. i że tylko przesądy białych zamykają przed nimi takie stanowiska. Kafrowie, pracujący śród białych, zarzucili zupełnie obyczaje plemienne, przyjęli wraz z chrześciaństwem strój europejski, a wielu z nich otrzymało wykształcenie początkowe w szkołach misyjnych. Stosunek pomiędzy nimi a ludnością białą jest obydny, wcale nie ludzki. Nawet inteligentni Anglicy, pod innym względem prawdziwi przedstawiciele europejskiej cywilizacyi na dalekiem Południu, nie umieją zupełnie zapanować nad nienawiścią, którą w nich budzą tubylcy. A jednak uczucie to nie da się tak łatwo wytłomaczyć, nie odpowiada ono nienawiści Amerykanów do murzynów, którzy z chwilą wyzwolenia zdobyli wszystkie prawa polityczne. Po za tem współczesne pokolenie białej ludności nie znało już wcale niewolników, nie może też być mowy o jakimkolwiekbądź współzawodnictwie handlowem. Odrzucając tedy takie i temu podobne czynniki, możemy domyślać się tylko, że wchodzi tu w grę po części wstręt fizyczny „białego“ do „czarnego,“ pogarda dla ludności, która uosabia antropologicznie różny typ dawnego niewolnika, zasadnicze różnice charakteru i temperamentu, które dzielą mieszkańców południowej Afryki, a wreszcie — *last not least* — nienawiść rasowa, która zdaje się głęboko zapuściła korzenie swoje w naturze ludzkiej i stanowi przypuszczalnie żywy a tragiczny przeżytek owych czasów, kiedy jedna rasa istnieć mogła tylko jedynie pod warunkiem zupełnego wymordowania innej. Dwie tylko sfery Europejczyków starają się stosunkowi swojemu do tubylców nadać inny charakter: po części urzędnicy angielscy, oraz duchowieństwo. Stosunek wzgardy przybiera niekiedy karykaturalne formy, zdarza się np. że biedny Europejczyk zostaje służącym u bogatego Kafra i wtedy stosunek ich wzajemny nie ulega żadnej zmianie. Bryce słyszał o białym robotniku, który domagał się od chlebodawcy, aby ten tytułował go „boss“ (panie) tak zwykle przemawiają robotnicy do swoich panów. Szkoły lepsze, utrzymywane dla zamożniejszej dziatwy, są dla dzieci tubylców zamknięte. Nienawiść nie kończy się nawet u wrót kościoła, gdzie znajduje ona sobie liczny wyraz. Nigdy Europejczyk nie przyjmie do towarzystwa swojego Negra, chyba w charakterze służącego, nigdy się murzyna nie przyjmuje w domu, a tylko na werendzie. Kiedy Khama, potężny naczelnik plemion murzyńskich, bawił w 1895 r. w Anglii i był bardzo uprzejmie podejmowany przez wysoką arystokracyę angielską, cała „Europa“ afrykańska wrzała oburzeniem. I dziś jeszcze zdarza się na odległej kolonii, że Boer w okrutny sposób pastwi się nad służącym u niego murzynem, a gdy pociągnięty do odpowiedzialności, uwolniony przez sąd zostaje, obecna publiczność odprowadza go do domu pod dźwięki tryumfalnego marsza.

Nie wolno Kafrowi posiadać ziemi, ani podróżować bez paszportu, nie wolno mu być przysięgłym. Wolno mu tylko być posłusznym i pracować.

Jak ułożą się stosunki z Kaframi w przyszłości? Bryce pod tym względem rysuje obraz przypuszczalnego rozwoju o charakterze następującym. Kafrowie pozostaną tam, gdzie są i w dalszym ciągu stanowić będą większą część ludności całego kraju. Kafrowie, dziś rozpadający się na liczne plemiona, mówiący różnymi językami — dadzą za wygraną swej odrębności międzyplemiennej, z imienia chrześcianie, zaczną najpewniej mówić po angielsku —

powołuje przed oczy zgromadzonych całą świetność Paryża, Bononii, Padwy, Pragi, Oxfordu, który „całe Niemcy oświeca i światłem zapładnia.“ Na to król ma koronę—aby nauką mężów dostojnych „Królestwa tego przywary i niedomagania wykorzenić i pozwolić mu na dorównanie innym narodom.“ „Niechaj to więc będzie umiejętności perła, aby wydawała męże dojrzałością rady znakomite, ozdobą cnót uwieńczone i w różnych naukach biegłe“ *). Taką miała być święta macierz oświaty.

Niepodobna rozstać się z tem świętem narodzin sędziwej Akademii: taka bije od niego łuna szczerej, uczciwej woli: taka czysta, naiwna jeszcze wiara, i we własne siły i metody, i wogóle w zdolność człowieka do wiernej a wytrwałej służby pod sztandarem ideału, przejmuje te dawne serca. Nowy rektor, Skalmierczyk, przywilej, a raczej dypłom, królewski, opatrzony datą samej uroczystości, z rąk podkanclerzego, Klemensa z Moskorzewa, przyjął na klęczkach. Kanclerz nowej Akademii, biskup krakowski (w poprzedniej kanclerzem był sam kanclerz królewski), po wykładzie, a raczej mowie o prawie kanonicznem, w przemówieniu do króla przepowiedział, że Akademia stać będzie, dopóki się—*quod Deus avertat*—berło królewskie nie złamie. Wieki spełniły—ale jak — więcej niż pożądała chwila: berło królewskie złamało się, a Akademia stoi. Najdonośniejszem echem odbija się jeszcze w umyśle dzisiejszego człowieka mowa Stanisława ze Skarbimierza: drżą w niej wieki średnie ze swym mistycyzmem religijnym, z garnięciem się do światła, które ziemię zostawiało ciemną, z wiarą w potęgę, która jako najwyższy, jedyny cel ziemski wskazywała zapracowywanie na niebo. Surowość stylu przypomina niekiedy Birkowskiego. Profesorowie szerzący światło, to zwierzęta apokaliptyczne, z których „każde z osobna ma sześć skrzydeł w koło, a wewnątrz jest pełne oczu.“ Założenie Akademii rozszerza kościół wojujący i postronki jego namiotu przedłuża. „Kościół jest jako tron, z którego wylatują błyskawice cudów, głos zakonu i namowy i grzmoty gróźb.“ „I te to głosy i grzmoty, równie w dzień pomyślności, jak w noc nieszczęścia wydają z siebie profesorowie Pisma św.“ — kolumny kościoła. I tymi grzmotami i głosami „wrzeszczą zwierzęta, doktorowie teologii i prawa kanonicznego.“ Biskup Piotr Wąż jest „Cherubinem“ z Apokalipsy, nauczającym na górze świętej. Takiego właśnie potrzeba było Akademii na kanclerza: prawo kanoniczne błyskawicznie z niego wypada. A cudowna to nauka: i dla głębokości i dla powszechności, i dla dzielności swojej: „Weź pierwszą z nauk, naukę kanonów, a wywyższy cię i podniesie i doskonałym uczyni.“ Filozofia także (wydział sztuk wyzwolonych) ma swoje cudowności w *trivium* i *quadrivium*, w arytmetyce i geometryi, w muzyce i astronomii, w ortografii i etymologii, w prozydyi i retoryce, w monastyce, ekonomice i polityce. Prawo teologię i filozofię uzupełnia. „Teologia jest nakształt głowy, prawo cywilne nakształt nóg, prawo kanoniczne jakoby ręce.“ „Fakultet filozoficzny zasługuje na cześć, uwielbienie i łaski,“ bo „przezeń iskrzeć się będzie mądrość, przyozdobi się cała społeczność, a niecnota pójdzie na wygnanie.“ Filozofowie „znaleźli na górach świętych złoto mądrości, srebro wymowy, sól roztropności, bursztyn sprawiedliwości, ołów wstrzemięźliwości, ziemię męztwa.“ Ale zwierzęta one wołają i głosem medycyny, bo Akademia ma mieć i czwarty fakultet, medyczny.

„W małym domku tego kolegium mądrość całego świata jest zamknięta.“ I w tem nie było czczej pychy. Nietylko domek był mały: mały był i kąt widzenia, a ówczesna mądrość całego świata nie potrzebowała wielkich przybytków, aby się pomieścić. Istotną wartość człowieka wskazuje nie to, co on wie, ale to, czego i jak chce. Świat wiedzy rozwija się z człowieka, ale od świata człowieczych pragnień, porywów i celów umiłowanych, trwałych a bezwzględnych, czyli ideałów, jest potęgą całkiem odrębną. Ta potęga, raz wydzielona, stoi już o własnej sile, istnieje i działa sama przez się, a spotykając umysłowość ludzką, pociąga ją ku sobie nawet bez jej współdziałania, bez wysiłku. Nieskończenie łatwiej jest dzisiejszemu człowiekowi znaleźć się choćby pod strumieniem światła, niż było średniowiecznemu wyciągnąć się po jeden jego promyczek; i to fałszywe bożyszcze dawniejsze odbierało cześć czystszą, niż dziś w wielu wypadkach odbiera od nas, kroczących już niewątpliwie w kierunku prawdziwej wiedzy. Gdy Skalmierczyk woła: „A Bóg nie dopuści, aby rozumy i serca mądrości Boga i światła brać w siebie nie miały“ *), zapominamy o jego teorematach i programatach: mamy przed sobą szczere pragnienie, które tylko u zdroju pracy nad umysłami i nad charakterami ukoić się mogło i do tego podwójnego trudu w kształceniu młodzieży rwało się z namaszczeniem i uświęceniem czystej, interesami chlebowymi niezbrukanej woli — i to nam wystarcza.

Po mowie Stanisława ze Skarbimierza obecni wpisali się w album akademickie, które spłonęło w pożarze w roku 1719. Taka pamiątka!

(C. d. n.)

*) W przekładzie Wiszniewskiego „H. Lit. Pols.“ IV 236—7. Wyrażenie ostatnie powtórzył Jagiełło a raczej Mikołaj Sandomierski, z przywileju Kazimierza W. z r. 1364.

*) Przytoczenia z Wiszniewskiego, l. c. str. 244 [illegible].

„Nasze służące i — my.“

Pod tym tytułem, jak już wiadomo czytelnikom *Prawdy* (p. „Pamiętnik“ w poprzednim numerze) odczytany został referat na ostatniem posiedzeniu delegacyi pracy kobiet, który obudził znaczne zajęcie w szerszych kołach publiczności naszej i zasługuje ze wszech miar na baczniejszą uwagę prasy.

Kwestya służby domowej należy dziś w całym świecie ucywilizowanym do szeregu kwestyj aktualnych, palących: wszędzie skarżą się służące, skarżą się i pracodawcy; służba domowa zaczyna się organizować, tworzy związki zawodowe, mające na celu zdobycie pewnych praw do lepszego, bardziej ludzkiego życia; podnoszą się głosy, żądające większego wynagrodzenia z jednej, ograniczenia godzin pracy z drugiej strony. Niedomaganie z chroni-

i jako zwarta, jednolita, czarna masa, będą w dalszym ciągu równie od białej ludności dalecy, jak to dziś ma miejsce. Ilość małżeństw mieszanych nie będzie się zwiększać. Przykład Stanów Zjednoczonych, gdzie od czasów emancypacyi niewolników statystyka małżeństw takich wykazuje stałe zmniejszenie, dowodzi, że i tutaj prawdopodobnie wzrostowi wolności murzynów odpowiadać będzie cofanie się raczej asymilacyi fizycznej.

Czarni będą coraz częściej i obficiej otrzymywali wykształcenie w szkołach publicznych; wzory amerykańskie wskazują, że w rzemiosłach nie zdobędą oni zręczności i uzdolnienia Europejczyków i tylko w niektórych zawodach stworzyć będą zdolni rzesze współzawodników. Pewna cząsteczka odda się nauce, wytworzy grupę właścicieli ziemskich, może pewien odsetek zdobędzie większe, niż dzisiaj, prawa polityczne. Nie ulega żadnej wątpliwości, że wyjdą z ich łona przywódcy ich przyszli w zakresie spraw politycznych i towarzyskich. I dzisiaj już talenty krasomówcze śród murzynów rzucają się w oczy.

W ten sposób powoli, niezmiernie powoli, wytworzy się w Afryce zwarta, silna przeciwstawnością do otoczenia innobarwnego, masa ludności tubylczej; większość jej członków będzie zapewne biedna; cała produkcya krajowa wystarczy zaledwie na jej wyżywienie: mowa tu jest tylko o produkcyi rolnej, o kopalniach bowiem w tym czasie już mowy nie będzie: będą wyczerpane. Oczywiście, że czasy to bardzo odległe; zmiany i przeobrażenia, którym podlegać będzie charakter ludności tubylczej w jak najmniejszym stopniu zależne będą od czynników politycznych i od społecznych jakichkolwiekbądź kataklizmów. Zmiany te leżą w sferze wpływów antropologicznych, fizycznych, gdzie rządzą prawa obojętne na wolę ludzką, gdzie mierzy się nie na lata, jeno na stulecia.

Bryce przypuszcza, że pod wpływem tych powolnych zmian w XXI stuleciu mogą zajść różnice w ustosunkowaniu wzajemnem Europejczyków i tubylców. Gdyby pierwsi poglądów swoich na rasę czarną nie zmienili, to mogłoby stać się, że cierpliwość, posłuszeństwo, serwilizm czarnych wobec pogardy i wstrętu białych znajdzie swój koniec w oporze natury ludzkiej, która wreszcie zacznie żyć w świadomości swojej nędzy. A wtedy może się z łatwością stosunek odwrócić; władza z jednych rąk przejdzie w drugie. Pod tym względem Ameryka nie jest przykładem właściwym. Tam bowiem murzyni stanowią zaledwie wąziutkie obszycie, brzeg ubarwiony odmiennie — wielkiej, białej masy: tu zaś porządek kolorów jest odwrócony: biali stanowią obwódkę zaledwie wielkiej, czarnej masy. Rozumniejsi ludzie śród białych w Afryce południowej zdają sobie już dzisiaj doskonale sprawę z gęstej sieci antagonizmów, którą tka powoli ale nieustannie wielki pająk Czasu, a która pokryje kiedyś cały mikrokosm stosunków wzajemnych ludów, zamieszkujących południowy kraniec Afryki. Mniemają oni, że należy już dziś zakrzątnąć się około kilku podstaw polityki wewnętrznej: należy trzymać czarnych zdala od napojów wyskokowych, stworzyć prawa agrarne i robotnicze, któreby przeszkodziły gromadzeniu się proletaryatu niepracującego — po miastach, a wreszcie zakładać szkoły rzemiosł. Takich ludzi rozumnych jest jednak niezmiernie mało: natura ludzka w swej ograniczoności zdolna jest myślą sięgnąć zaledwie o lat kilkanaście naprzód. Najlepsi rodzice myślą tylko o swoich dzieciach, co zaś będzie z wnukami, prawnukami, piątem i dziesiątem pokoleniem — za słaby jest umysł ludzki i zbyt skromny, aby mógł i chciał puścić wodze fantazyi i tę odległą we mgłach ukrytą przyszłość antycypować.

* * *

W jednym z poprzednich artykułów, mówiąc o klimacie Afryki południowej, zauważyliśmy, że deszcz jest tam wszystkiem, ale deszczu niema, skutkiem czego nader niewielka tylko część powierzchni, nadającej się do uprawy, dostała się pod pług. Zaledwie tysiączna część Kaplandu bywa obsiewana, a w innych częściach Afryki południowej stosunek ten jest jeszcze gorszy. Z natury rzeczy tedy wypływa myśl zaprowadzenia sztucznej irygacyi i gdyby ta ostatnia dała się urzeczywistnić, to nie ulega żadnej wątpliwości, że bogactwa naturalne kraju wzrosłyby z szaloną szybkością, warunki bowiem geologiczne nadają

cznego przechodzi w stan ostry. W roku zeszłym całe lato w Berlinie wypełniły zebrania służących z takim dramatycznym przebiegiem, że echa tych gorących skarg na wyzysk pracodawców odbiły się nawet w prasie burżuazyjnej. Przeglądając dzienniki europejskie, znajdujemy tam pełno notatek, wiadomości, skarg i rad, unoszących się niby opary nad tym moczarem społecznym. W Ameryce znaleziono poniekąd rozwiązanie, radykalne, prawdziwie po amerykańsku chirurgiczne: zniesiono tam omal że zupełnie *instytucyę* służby domowej, jako takiej. Służąca, o ile jest (a jest tak drogą, że tylko nader zamożni mieszkańcy pozwolić sobie mogą na ten *zbytek*) jest urzędnikiem, który ma ściśle ograniczoną, z góry ułożoną ilość obowiązków do spełnienia, przyczem i czas, którym pracodawca rozporządza, jest określony. Służąca tedy znajduje się tam zupełnie po za „domem,“ nie jest inwentarzowym sprzętem domu rodzinnego; jest ona wykwalifikowanym w pewnym kierunku rzemieślnikiem, który swoje osiem godzin pracy dziennej dzieli między obywateli A. B, C, D, u każdego pracując po dwie godziny dziennie, załatwiając pewne czynności. Emancypacya służby domowej zostaje w ten sposób ostatecznie dokonaną. Albo u farmerów amerykańskich, gdzie taki rodzaj pracy jest niewykonalny, farmerzy żyją bowiem samotnie, na pustkowiu, o wiele mil jeden od drugiego oddaleni, służba domowa należy znowu zupełnie do rodziny. Czytaliśmy niedawno wrażenia pewnej Francuzki, która była niezmiernie zdziwiona, widząc, jak na fermie pod Bostonem dwie służące, „ubrane tak samo albo i lepiej, niż pani domu, siadały do obiadu razem z całą rodziną i nie czuły się tam wcale nie na swojem miejscu.“ Ten ostatni obraz przypomina dawne czasy europejskie i życie włościańskie w naszej jeszcze dobie, tylko że wzory amerykańskie świadczą o większem wydelikaceniu, uduchowieniu życia. Nasz chłop, gospodarz na 4 i 5 włókach, je i dziś jeszcze ze wspólnej miski z parobkami swymi; nasz szaraczkowy szlachcic, pan na 4—5 również włókach, nigdy nie pozwoli sobie na taką demokratyzacyę jadalni. A farmer amerykański nie przypomina chyba w niczem naszego włościanina. Życie innego, również pod względem społecznym nad wszelki wyraz posuniętego społeczeństwa w inny nieco sposób starało się tę kwestyę rozwiązać. Zamknięte w sobie *at home* angielskie, dom rodzinny uważany za niezdobytą fortecę osobistego życia *(my house is my castle)*, nie mogło przyjąć ograniczonych w czasie usług najemnika, po które każdy sięgnąć może. Dlatego też starano się żądaniom służących uczynić zadość nietylko w zakresie wyższej płacy, lepszych obyczajów, ale samą architekturę domu przystosowano do tych wymagań nowoczesnych. W domach zamożniejszych służba posiada nietylko oddzielną jadalnię, ale jeszcze swój buduar — *kitchen-parlour*, gdzie po za godzinami pracy może gości swoich przyjmować, dzienniki czytać, listy pisać...

A jednak w tem samem społeczeństwie angielskiem mógł znany kaznodzieja londyński, metodysta, John Clifford, wołać z ambony 26 czerwca 1898 r.: „Dziś służący znajduje się najzupełniej we władzy pana. Jego wolność jest spowitą w kajdany. Nie ma żadnego zdania własnego, gdy chodzi o to, co ma jeść, jak się ubierać. Jest ciągle pod władzą szpiegostwa: każdy krok jego jest wiadomy, godzina wyjścia i powrotu do domu. A dalej, czy to nie okropne pomyśleć, że on nie ma zupełnie życia prywatnego, osobistego! Całe jego życie jest *publiczne*. Nigdy nie jest sam. Nie posiada własnego domu, a najczęściej nawet własnego pokoju, zadawalając się kątem we wspólnej dla 3 i 5 osób izbie. Nie ma najmniejszej możności pozostawania sam na sam z myślami swojemi, zastanawiania się nad wrażeniami, które odbiera.

„Nie koniec na tem. Skazany jest na wiekuiste bezżeństwo, a co to oznacza, łatwo chyba każdemu zrozumieć. Nie ma dalej żadnych praw obywatelskich, nie ma najmniejszej sposobności, ażeby dowieść, że jest również obywatelem kraju i chce pełnić obowiązki obywatelskie. Nie znając tedy z jednej strony życia osobistego, znajduje się z drugiej po za granicami publicznego...“

Na kontynencie europejskim zaś zmiany w porównaniu z epoką dawniejszą są zasadniczo mało poważne. We Francyi i Niemczech oświata służby domowej jest większa, świadomość wartości człowieka wyższa, poczucie spraw społecznych silniejsze, skutkiem czego niezadowolenie ze stanu obecnego nabiera barw bardziej wyrazistych, wylewa się w formy pożądań prawnych i reform społecznych, o konturach jasno zarysowanych. Ale jeżeli nawet w Anglii mógł odezwać się głos powyżej przytoczony, który nie należał do przedstawiciela stanu służących, ale do człowieka, który dzięki stanowisku swemu mógł wznieść się na poziom rozumnego objektywizmu, to cóż mamy i możemy sądzić o sąsiadach naszych na Zachodzie? Wszędzie— w Berlinie i w Rzymie, w Paryżu i Wiedniu rozlegają się stałe skargi pracodawców na wymagania, na ciągle rosnącą pożądliwość materyalną, krnąbrność, zarozumiałość służących; ci zaś coraz głośniej a stanowczo domagają się nowych praw, równouprawnienia społecznego z innymi zawodami pracy, większej wolności. Dlaczego nie mamy posiadać prawa zebrań? Dlaczego wolno jest pracodawcy „bojkotować“ nas, służące, za pomocą książek służbowych, a nam nie miałoby służyć prawo bojkotowania pracodawców źle się z nami obchodzących, krzywdzących nas na płacy i dostojeństwie naszem? Dlaczego pracodawca może nas wpisywać do naszych „paszportów“ społecznych, do dowodów naszego poddaństwa — świadectwa, których sprawiedliwości albo prawdziwości nikt, żadna władza społeczna nie sprawdza? Dlaczego nikt nie pomyśli o zabezpieczeniu naszej starości? Czemu robotnik fabryczny ma być od nas lepszy: zabezpieczono mu stare, do pracy niezdolne lata? Dla nas zaś są przytułki, które w tysiącznej zaledwie części odpowiadają potrzebie, a których więzienna atmosfera łaski i miłosierdzia szlachetnych pań obrzydza każdy kęs strawy? Póki jesteśmy młode, znajdujemy popyt na rynku wszelakich subretek, powiernic wiarołomnych żon i panieńskich sekretów; jeżeliśmy urodziwe, spocznie na nas chwilowo oko, pożądliwości i łakomstwa brutalnego pełne, pana domu a władcy *). Starych poko-

*) Według statystyki najnowszej, zebranej w r. z. przez „Christlicher Bund zur Hebung der Sittlichkeit“ w Berlinie — na 5.183 indagowanych prostytutek 289 oświadczyło, że upadek swój zawdzięczały panom domów, u których służyły.

---

się tu do plantacyi pszenicy, kukurydzy, owoców, trzciny cukrowej, tam— tytoniu, owdzie wreszcie — bawełny. Już dzisiaj wywóz owoców zwiększa się z rokiem każdym. Drugiem źródłem bogactwa kraju jest hodowla bydła, prowadzona nad wszelki wyraz ekstenzywnie, skutkiem czego fermy hodowców zajmują niezmiernie dalekie przestrzenie, nieznajdujące się w żadnym stosunku do korzyści, osiąganych ze sprzedaży przychówku. W 1893 r. liczono w Kaplandzie 2 miliony, w Natalu 725 tysięcy, w Oranii 900 tys., w kraju Beczuanów tylko jedno plemię, Khamy, liczyło 800 tysięcy sztuk bydła. Owiec liczono w Kaplandzie 1896 r. około 20 milionów i 225 tysięcy strusiów. Trzeciem źródłem bogactwa są minerały. Powyżej mówiliśmy obszerniej o produkcyi złota i dyamentów — wspomnimy tedy tutaj o żyłach węgla i żelaza, które jednak czekają jeszcze eksploatacyi. Dziś nikt o tych kopalniach nie myśli: złoto ogniskuje wszystkie zabiegi, przyjdzie jednak czas i na to. W związku z ostatnim rodzajem produkcyi znajduje się pytanie, czy Afryka południowa nadaje się do przemysłu fabrycznego. W dzisiejszych warunkach jest to pytanie czysto akademickie, wszystko bowiem: tkaniny, wyroby metalowe, napoje wyskokowe i gazowe przychodzą z Europy, pomimo tego i bez względu na odporność Boerów i na zupełny brak inicyatywy u nich w tym kierunku, można przypuścić, że i w Afryce południowej ludzie zwrócą się do budowania fabryk. Jakie i czy są warunki po temu? Możliwość przemysłu w większym stylu zależy od rynków zbytu, od taniości maszyn i robotnika. Pierwsze dziś prawie że nie istnieją, spożywcami bowiem są tylko Europejczycy, a tych, jak wiadomo, jest niezmiernie mało. Maszyny sprowadzać trzeba z Europy i Ameryki, motory naturalne (np. siła wodna) są niezmiernie rzadkie, pozostaje tedy czynnik ostatni — praca ludzka. Robotnik wykwalifikowany jest w południowej Afryce niezmiernie drogi, bo rzadki, a nie uczony, również drogi, bo niedobry. Czarni są niezręczni, mieszańcy (t. zw. „cape—boys“) używani bywają za woźniców, pracują na liniach kolejowych, Kafrowie pracują w zakładach ciesielskich i tartakach. Złożone atoli, wymagające wytrwałości i przytomności umysłu, prace nie nadają się dla nich wcale. Pracując najczęściej otrzymują najniższe wynagrodzenie: 10—20 szylingów miesięcznie, prócz pożywienia, a jednak pracodawcy twierdzą, że europejski robotnik, otrzymujący znacznie wyższą płacę, kosztuje taniej. Biali zarabiają od 3—8 funtów tygodniowo, względnie do sprawności robotnika, co wdwójnasób przewyższa wynagrodzenie robotników angielskich, wtrójnasób — belgijskich i niemieckich, a nawet płace pobierane w Stanach Zjednoczonych. Rzecz jasna, że drożyzna robotnika nie wpływa dodatnio na rezultaty współzawodnictwa—przypuszczalnego przemysłu południowo - afrykańskiego z produkcyą angielską i amerykańską. Ostatecznie tedy niema wielkich widoków, ażeby się przemysł kiedykolwiek rozwinął, a w związku z tem ludność biała pozostanie zawsze w mniejszości. Dziś w koloniach angielskich i w państwach Boerów liczą około trzech osób na dwie mile kwadr. ang., a stosunek ten w innych częściach kraju jest jeszcze gorszy. Afryka południowa, o ile sądzić można z tego co o niej wiemy, pozostanie zawsze dzikim stepem, na którym tu rzadziej, tam nieco gęściej rozsiane będą oazy. Biali zawsze nierównomiernie tylko rozrzuceni będą po tych oazach. Obecnie z 730 tysięcy mieszkańców jedna czwarta zamieszkuje Witwatersrand, $^1/_4$— miasta portowe, na wybrzeżach południowych i południowo-wschodnich, pozostałe zaś $^7/_{12}$ rozrzucone są między wielką ilością samotnych osad i małych miasteczek. Stosunek ten pozostanie bez zmiany tak długo, póki złote pola nie zostaną zupełnie wyjałowione. Wtedy biali zwrócić się będą musieli do innych źródeł pracy i zysków, przedewszystkiem do rolnictwa. Rozwój zaś rolnictwa, jak widzieliśmy wyżej, zależy od tylu i tak różnorodnych, nie zawsze dziś jasnych, czynników, że nudną i nieprawdopodobnie ryzykowną rzeczą byłoby dla nas sięgać myślą w przyszłość tak odległą.

***

jówek nikt nie potrzebuje. Możemy wtedy zejść po drabinie godności służbowych o szczebel niżej i ująć w dłonie spracowane berło gastronomii domowej — warząchew i rondel. Lata mijają. Przy wiekuistym ogniu,—wzrok prędko wypalony, a wtedy, gdy do śmierci przyrodzonej daleko jeszcze, grozi już śmierć — głodowa, śmierć społeczna. Koło zapotrzebowania społecznego dla nas zamknięte: *apage!*...

Wszystko na świecie ma swoją przyczynę, a w świecie dla zmysłów naszych w danym momencie czasu i przestrzeni dostępnym, współczesnym, tak się już układają rzeczy, że każda „przyczyna" jest zarazem „skutkiem" innej, wyższego albo dalszego porządku przyczyny. Każdy z nas skarży się dziś na służbę swoją, w tym domu służący jest brudny, tam służącej obyczaje wiele pozostawiają do życzenia, wszyscy zaś roztrzepani, obojętni na losy powierzonego im gospodarstwa, na losy rodziny, do której przestrzennie przynajmniej należą. To są oczywiście „skutki." A jeżeli kto nieśmiało zapyta o przyczyny, to odpowiedź łatwa: brak oświaty, zawodowego wykształcenia, poczucia moralnego. Ależ wszak poczucia moralnego brak, oświaty niedostatek — to chyba też są skutki jakichś okrutnych, może nie tak łatwo namacalnych, może gdzieś w dziejowej perspektywie ginących przyczyn! Tylko owczarz szuka przyczyn choroby w zewnętrznych objawach, tylko znachor wrzody smaruje maścią z komarowego sadła. Dlaczegoż mielibyśmy być miast lekarzami, tylko wrzodów społecznych — społecznymi znachorami? I dlatego też — jest to głębokiem przekonaniem naszem, że w aptece środków naszych ani szkoły zawodowe (dla kucharek np.), ani szkoły dla nieletniej służby miejsca poważnych lekarstw nie zajmą. Nie widzimy też zbawienia ani w resursie dla sług, bo z tej klubowej gąsienicy nader szybko wylęże się motyl bractwa kościelnego, przytułek łaski, w którym czcigodne a możne, w najlepszym wypadku, histeryczki lokować będą odpadki ze stołu swoich cnót, ani w biurze pomocy prawnej, które za sobą żadnej siły moralnej mieć nie będzie, albowiem rozporządzać nie będzie siłą przymusu prawnego: ani w kasie pomocy, albowiem nie widzimy zgoła sfer, któreby mocnymi, spiżowymi fundamentami podłoże jej usłać chciały albo mogły. Zapewne, że w armii pół- i ćwierć-środków taka działalność społeczna (projektowana przez delegacyę pracy kobiet) też funkcyę jednego regimentu pełnić może. Ale, przez litość, pamiętajmy, że to nie esencya życia, jeno słabiuchna wodzianka społecznego czynu!

Więc cóż? Czy staniemy wobec ziejącej przepaści? czy z lutni naszej nie wydobędziemy innego dźwięku prócz dysonansu beznadziei, prócz zgrzytu niewiary i pesymizmu? Przenigdy.

* * *

Musimy jednak sięgnąć głębiej. Mikrokosm każdego oddzielnie wziętego zjawiska społecznego staje się wyraźnym, zrozumiałym, tajemnice swoje odsłania, zagadki, które kryje, objawia — na tle makrokosmu całkowitego rozwoju społecznego. Tylko japońscy i chińscy malarze malują bez perspektywy, ale dlatego też malują nie ludzi — jeno cieniowe tylko kontury manekinów. To też, gdy spojrzymy na zajmującą nas tu dzisiaj kwestyę, drobne zaledwie włókienko w potężnym sploci zjawisk społecznych doby naszej, to rozumowanie nasze będzie musiało iść drogą następującą.

Wiemy dobrze — pisaliśmy w *Prawdzie* przed kilku miesiącami — jak warunki materyalne naszego życia zmieniły się w porównaniu do dawnych stuleci. Już dziś nikt nie warzy piwa, nie syci miodu, nie nosi samodziałowej koszuli. Zamknięte na siedem pieczęci państwo rodziny ze wszystkich stron rozwarło na ścieżaj swoje ciężkie zardzewiałe wrota. Zewsząd wpłynęły tam czynniki życia publicznego. Jedna za drugą odpadały wielorakie funkcye materyalne dawnego państewka. Piwo warzą w browarach, miód w miodosytni, sukno i płótno wyrabiają po fabrykach. Wszędzie zapanował ów błogosławiony podział pracy. A za podziałem pracy zewnętrznym, jako odpowiednik poszło jakieś rozbicie życia — nawet materyalnego, na tysiące i miliony, pędzących niezależny, smutny, bezładny byt swój atomów i włókienek, których nic nie wiąże, nic nie łączy, prócz owej połamanej i niepewnej kładki — chwilowej potrzeby.

Był ongi czas, kiedy służba domowa stanowiła integralną część „domu," rodziny. To, „co w życiu umiera, odradza się w pieśni," i dziś już tylko poezya odtwarza typy drogie i piękne „starych sług," wiernych, oddanych przyjaciół; serca gorejące żywym płomieniem poświęcenia i w zamian odbierające nie zdawkowy tylko bilon przyzwoitości. Jakkolwiek obcy, tak głęboko wrastali w organizm rodziny, tak przyjął się ich szczep na rozłożystym baobabie rodziny patryarchalnej, że różniczkując konary, nie zdołalibyśmy rozpoznać ich specyficznej barwy, rozgałęzienia itd. Myśląc o tem, nie zapominamy, że to mowa o rodzinie patryarchalnej, o ostatnim, jak dotąd, etapie w dziejach rozwojowych rodziny, jeśli nie uważać obecnego — rodziny rozkładającej się — za oddzielny, istotny typ współżycia rodzinnego. A gdy się wymienia rodzinę patryarchalną, wnet stają przed oczyma wyobraźni okrucieństwa pańszczyźniane, noc niewolniczego bytowania. Ileż w tem wszystkiem przesady! Z ust jednego z największych znawców Wschodu słyszeliśmy opowieść o stanowisku służby domowej z imienia niewolników w organizacyi rodzinnej Turków mało-azyatyckich, którychby chyba nikt o słodycz obyczajów nie posądzi. Na tle stałych stosunków rodzinnych, w atmosferze przyzwyczajenia, zżycia się wzajemnego panów i sług ostre kanty instytucyi ustanowionej przez prawo, niewolnictwa (targów niewolniczych) — ścierają się i miękną. Możemy od tych obrazów rzeczywistych cofnąć się wstecz i lepiej naszą własną przeszłość zrozumieć. Cofając się atoli, nie myślimy minionych wieków z lamusa historyi wydobywać, niby rekwizyt teatralny odnawiać, nie majaczoją nam przed oczyma feodalistyczne miraże Ruskinowej średniowieczczyzny! Niechaj śpią w spokoju wiekuistym!

Przeszłość nie wraca, historya nie cofa się. Form życia, które utonęły w Styksowych wodach niepamięci, nie obudzi żadna siła do nowego istnienia. Z tem liczyć się musimy, jako z aksyomatem. Świat „starych sług" odszedł. Dziś w Ameryce „nowy" służący jest urzędnikiem, biurokratą, wolnym najmitą wiatrem potrzeby gnanym od drzwi do drzwi. Objektywnie sądząc, jest to zapewne cel, do którego poprowadzi naturalny rozwój stosunków społecznych w innych krajach. Ale gdy dla tych ostatnich nie przyszło jeszcze „spełnienie czasu"—gdy w rodzinie współczesnej, naszej, jest jeszcze miejsce na służbę domową, gdy maszyna nie zastąpiła jeszcze wszystkich licznych jej czynności dawnych, gdy nie uspołeczniono jeszcze wielorakich potrzeb, co w sumie swej dają „szary dzień dzisiejszy" życia rodzinnego; gdy nie przyszła chwila, kiedy służąca stanie się istotnie narzędziem niepotrzebnem, przeżytkiem zwyczajowym — ocknijmy się z bezczynnego niedołęstwa! Nie przyspieszajmy tej chwili, nie czekajmy, aż liczne rzesze istot wydziedziczonych szukać będą w samopomocy czy samowoli odtrutki na wyzysk i na bezlitość naszą.

Jest apelacya, jest jeszcze — nie do instytucyj, ale do duszy naszej. Zamierają w nas światy i odradzamy się na nowo; zasypują nas popioły własnych całopaleń, a zmartwychwstajemy wciąż siłą nieśmiertelną własnej woli naszej, sprawdzając krwawy rachunek sumienia własnego, wydobywając z głębokiego nurtu ducha coraz to nowe punkty krystalizacyjne, wokoło których budować zaczynamy światy nowego życia.

Nie chowajmy się za parawany przepisów prawnych; niejeden powie: śmiać się z niezadowolenia służących, ordynacyę prawną mamy za sobą: cóż tam obawiać się organizowania się służby domowej? Czyżby tak było? Gdyby kto dwadzieścia lat temu powiedział szlachcicowi, że nie będzie miał parobków, zaśmiałby się szyderczo. A dziś piszemy długie artykuły o „Rural Exodus" i śmiejemy się z Pompejuszów, co to uderzeniem nogi o ziemię mieli stwarzać legiony. To samo powtórzyć się może z armią służby domowej. Póki istnieją jeszcze tendencye rozwojowe naszego przemysłu, póki fabryki zabierać mogą cały nadmiar ludności pracującej, mężczyzn i kobiety, póki otwarta granica zachodnia — cesarstwo niemieckie, Ameryka, Brazylia — póty, kto chce szukać, pracę znajdzie. Naszą tedy rzeczą jest stworzyć takie warunki życia służby domowej, aby syreni śpiew niezależnej, zupełnie wyemancypowanej pracy fabrycznej i innej nie mógł jej od nas oderwać. Kiedy Odyseusz—jak chce mit grecki — przepływał obok syren, nie dowierzając woli swojej i sile charakteru, kazał się przywiązać powrozem do masztu. Przywiążmy naszą służbę do nawy naszego życia w rodzinie — miękimi powrozami miłosierdzia i miłości.

Nie jest rzeczą artykułu tego wskazywać praktyczne, konkretne środki takiej działalności. Naszym obowiązkiem było tylko wskazać drogę, która do zdobycia tych środków prowadzi. Teraz głos mają zainteresowani — teraz niechaj przemówią w czynach pracodawcy.

SPRAWY WYCHODŹCZE W NIEMCZECH

U nas pisze się wiele o organizacyi pomocy dla wychodźców do Ameryki i to już od tak dawnego czasu, że ta organizacya ma całą długą historyę. Historya ta byłaby bardzo śmieszną, gdyby nie była niezmiernie a głęboko smutną. Mamy bowiem cały szereg „specyalistów," którzy wciąż a bezustannie uderzają w wielki dzwon samochwalstwa, ofiar i zasług publicznych, budują wielkie piramidy papierowe, upstrzone od góry do dołu napisami głoszącymi, co widzieli, co słyszeli, czego dokonali z myślą płynącą ku ideałowi *salus publica.* Tymczasem zaś — często, przy sprawdzeniu późniejszem przez następnych podróżników okazuje się, że napisy owe zawierają opowieść o tem, czego nie widzieli, nie słyszeli, nie dokonali. Dość przytoczyć takie oto dwa tomiki nędznej makulatury, wytłoczonej w znanej fabryce „Biblioteki dzieł wyborowych" pod tytułem: „*Szlakiem wychodźców*, wspomnienia z podróży do Brazylii," aby sobie raz na zawsze wszelką naszą literaturę emigracyjną obrzydzić. Pomijamy już zupełny brak talentu literackiego, którego nie nabywa się pomimo ciągłego powtarzania tych samych anegdot, obrazów i porównań, ale co najgorsze, to owa zupełna niewiarogodność opowiadania, stwierdzona przez wielokrotną, rzadko owocną i korzystnie przeprowadzoną polemikę, owe ciągłe sprzeczności w opowiadaniu o tym samym przedmiocie, powtarzane po kilkakroć w zupełnie odmiennem oświetleniu, cofanie się, wypieranie zdań isto-

tnie wypowiedzianych aczkolwiek mylnych (patrz najnowszą polemikę p. Gruszeckiego z p. Siemiradzkim!). Wszystkie te cechy stwierdzoną zostały niedawno w *Prawdzie*, a jednocześnie zakwestyonowano, wobec istnienia takich nieporządków i takich informatorów możliwość wywiedzenia się czegokolwiek o wychodźctwie polskiem w Brazylii.

Mogłoby być jednak inaczej, czego najlepszym dowodem są organizacye pomocy dla wychodźców niemieckich. O jednej z takich instytucyj mówimy dzisiaj.

Przed trzema laty utworzyło się stowarzyszenie pomocy dla wychodźców niemieckich, które w ostatnim miesiącu odbyło swoje doroczne zgromadzenie. Towarzystwo ma na celu: 1) udzielanie informacyj bezpłatnych wychodźcom; 2) szerzenie idei o konieczności polityki wychodźczej narodowej; 3) ostrzeganie przed niepatrznem wychodźctwem. Przewodniczący, prof. Kettler z Hanoweru, zwrócił uwagę na wstępie na to, że przyrost naturalny ludności niemieckiej w ilości 800 tysięcy dusz musi pobudzić do bardziej szczegółowego krzątania się w zakresie spraw wychodźczych. Dr. Scharlach (Hamburg) poświęca kilka uwag kwestyi „emigracya a kolonie niemieckie.“ Mówca wierzy w przyszłość kolonij niemieckich, mniema atoli, że lekkomyślnością byłoby namawiać wychodźców do przesiedlania się na te niepewne placówki politycznego autorytetu Niemiec. Obstaje on raczej za południowymi stanami Brazylii. Prof. Kettler zastanawia się nad ewentualnym udziałem rządu niemieckiego w zakresie osadnictwa na koloniach niemieckich. Rząd powinien popierać wychodźców. W tym celu należy tworzyć zorganizowane towarzystwa kolonizacyjne (*organisierte Siedelungsgesellschaft*), które powinny otrzymywać ziemię od rządu niemieckiego na warunkach możliwie dostępnych i odprzedawać ją oddzielnym grupom kolonistów na warunkach długiej i nieuciążliwej amortyzacyi.

P. Lemcke, Niemiec zamieszkały w Meksyku, opowiada o Niemcach zamieszkałych w tej miejscowości. Dotychczas niewiele naliczyć tam można rolniczych osad niemieckich. Kwestya ta atoli staje się doniosłą ze względu na działalność pewnego bogatego konsorcyum kapitalistów niemieckich, które nabywa tam wielkie przestrzenie gruntów ornych i zamierza zająć się rozprzedażą tychże drobnym osadnikom. Mówca przekonany jest o możliwości powodzenia kolonistów nawet w granicach nader niewielkiego kapitału i powołuje się w tej mierze na doświadczenie kolonistów włoskich, którzy osiedlali w Meksyku w stanie zupełnej nędzy, a obecnie uchodzą za nader zamożną klasę rolników miejscowych.

Sędzia Dilthey z Akwizgranu objechał kolonie niemieckie w Brazylii południowej, w La Plata i Afryce południowej. W Brazylii, jak zresztą wiadomo z dawniejszych opowieści, kolonie niemieckie znajdują się w stanie kwitnącym. Koloniści zajmują osady dochodzące do 100 i wyżej morgów i odznaczają się znaczną zamożnością: wszędzie pełno kościołów i szkół. Mówca całymi dniami jeździł, nie napotykając innych ludzi, niż Niemców, nie słysząc innej mowy, innego pozdrowienia, niż niemieckie. Rodziny są nader liczne, posiadanie 12 dzieci nie jest wcale rzadkością. W Argentynie jest wielu Niemców, którzy przywędrowali tu z nad Wołgi i g. Wołyńskiej— i ci zachowali swój język i swoje obyczaje. Tylko w Afryce południowej język niemiecki ustępuje wobec mowy angielszczyzny. Zgromadzenie powzięło rezolucyę, w której domaga się od rządu niemieckiego popierania szkolnictwa w koloniach.

Mówiono następnie o widokach dla wychodźców w Chinach. W tym zakresie nic dotychczas nie zdziałano. Zanim rząd niemiecki nabył Kiaotschou, większe firmy wywozowe niemieckie zakładały swoje filie pod opieką flagi angielskiej. Ale i dziś imigracya Niemców do Chin jest minimalna. W r. 1899 zaledwie [illegible] ogólnego wychodźtwa przypadł na Chiny. Wogóle zaś mówca zapatruje się nader sceptycznie na widoki kolonizacyi w Azyi wschodniej. Kolonizacya francuska Tonkinu dała złe tylko rezultaty. Ażeby zostać „kolonistą“ w Indo-Chinach, należy posiadać co najmniej 50,000 franków. Chińczyk sam jest dobrym robotnikiem, posiada dobrą ziemię, dobre urządzenia, wygodne rynki zbytu. Słowem, mówca ostrzega przed zakusami kolonizacyjnymi nad Jantsekiangiem.

Takie są rezultaty obrad prywatnego przedsięwzięcia ludzi dobrej woli. Niewiele tu stosunkowo frazeologii, poświęceń, martyrologii na chwałę — osobistego powodzenia. Mniej lub więcej są to wszystko rzeczowe tylko wskazówki, z których oczywiście korzystać będzie można. Nikt tam przed niewodem ryb nie łowi, nikt fantastycznej przędzy różnorakich ułud nie rozsnuwa, kolorowych baloników nie puszcza — tylko wszyscy chcą pracować, pracować, pracować.

O, gdybyśmy już mogli kiedykolwiek powiedzieć i w *takim* sensie: *tout comme chez nous!*

T. K.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Jan Soliter.

N[illegible] Jana Solitera [illegible]nim tak podzielałem jak gdyby ono we mnie narodziło się, dojrzało i mnie wyłącznie obrało sobie za ofiarę. Nie jakaś jedna struna, ale całe organy żalu grały w mojej duszy, ile razy on zwykłym wstępem rozpoczynał skargę, którą słyszałem tysiąc razy:

— I do czego my dojść możemy w tej naszej nieszczęsnej rozsypce? Powiadają, że gdzie się zbierze trzech Polaków, tam jest cztery zdania. Gdyby tylko cztery! Pięć, dziesięć, dwadzieścia! Nieociosane, nieprawidłowe głazy z pola można ułożyć w równy mur, a między nami niepodobna znaleźć najmniejszej wspólnej płaszczyzny, którąbyśmy przystawali do siebie. Przecież wszystkie narody spajają się w większe lub mniejsze grupy — a my tworzymy kupę luźnego żwiru. Kto nam odebrał kit, kto nam ukradł wspólny mianownik?

To pytanie rzucał mi zwykle szanowny Jan Soliter, a ponieważ ja nie umiałem go objaśnić, kto nam odebrał kit i ukradł wspólny mianownik, więc pozostawało ono ciągle bez odpowiedzi, jak sfinks leżący u wrót pustyni. Ograniczałem więc mój udział w tym smutku do współczucia, które było tem żywsze, że zacny Soliter nosił w sobie tę ranę od dzieciństwa. Jeszcze będąc w gimnazyum chciał grono lepszych kolegów związać ściśle ideą czystego życia. Ale wkrótce przekonał się, że każdy z nich myślał tylko o potarganiu solidarności: jeden był pobożny, drugi zachwycał się heksametrami, trzeci hodował gołębie, czwarty lubił jeść lukrecyę, piąty uwielbiał nauczyciela historyi, szósty wyrabiał piłki z pociętych kaloszy, siódmy zaklinał się na miłość dla ciotki — czego Jan Soliter nie znosił i nie mógł im przebaczyć. Później w uniwersytecie doświadczył podobnych rozczarowań: założył kółko samopomocy naukowej, którego został przewodnikiem. Po tygodniu sam się z niego wycofał, gdyż jeden z członków podczas obrad oświadczył, że wierzy w odmienne pochodzenie szlachty polskiej, drugi największym filozofem nazwał Moleschotta, trzeci prowadził tańce w resursie, czwarty był przeciwnikiem jałmużny, piąty unosił się nad Syrokomlą a lekceważył Rodocia, szósty ogryzał paznokcie, siódmy nosił papierowe kołnierzyki, ósmy lubił jeść prosię — a wszystko to oburzało Jana Solitera. Wszedłszy do literatury, jak tylko otrzymał od niej znaczek kotylionowy, zaraz postanowił zbudować dla niej nowe, wspaniałe stronnictwo. Było wówczas kilkanaście większych i mniejszych partyj, które służyły za stałe mieszkanie lub zajazdy dla ludu piśmienniczego: Soliter wyjął coś z każdej — to belkę, to podwalinę, krokiew, gont i zlepił z tego materyału chałupę, którą mianował świątynią przyszłości, a siebie w niej kapłanem. Pewnego dnia bez burzy i wstrząśnień świątynia się zawaliła, a on ledwie z niej uciekł, cisnąwszy klątwę na grób swoich zabiegów i nadziei. Wszystkie te jednak smutne niepowodzenia nie zniechęciły go. Kojarzy on w dalszym ciągu stronnictwa i koła. Jeżeli zobaczycie przy stole w cukierni, mleczarni lub restauracyi kilku mężczyzn, z których jeden prawi a inni milczą, rozrywając swoją uwagę tylko spojrzeniami, rzucanemi tendencyjnie ku usługującym dziewczętom, bądźcie przekonani, że Jan Soliter tworzy nową partyę. Werbował on i mnie nieraz, ofiarując mi kolejno rozmaite godności: hetmana, chorążego, kaznodziei, dobosza, wreszcie prostego żołnierza, a gdy żadnej przyjąć nie chciałem, zrobił mnie swoim prywatnym spowiednikiem, albo raczej sędzią winowajców, którzy zgrzeszyli przeciwko jego ukochanej idei. O ile umiałem, wydobywałem z siebie echa jego żalów, co mu sprawiało ulgę. Niedawno wpadł do mnie z rykiem Leara.

— To nie ludzie uspołecznieni—wołał— to rzadki, wyrąbany las, w którym drzewa nie stykają się ani korzeniami, ani koronami. Każdy z tych głupich chojaków mniema, że on swym łbem podpiera niebo, które natychmiast runęłoby na ziemię, gdyby on się usunął. Nagnij je ku sobie i zwiąż wierzchołkami — rozerwą się i — jak mówi Mickiewicz — jeszcze dalej od siebie się odchylą. Prości chłopi stworzą solidarną gromadkę, a ci ucywilizowani, rozumiejący potrzebę i wartość łączności, nie mogą sobie podać rąk, ażeby ich nie zwinąć w kułaki. Zginiemy z tym naszym podłym indywidualizmem, który już wszędzie stał się przestępstwem, a u nas jest jeszcze cnotą.

— Co to za wspaniały widok przedstawia taka Anglia! — dodał po chwili milczenia. Rozpada się na dwa, najwyżej trzy stronnictwa, które mogą być potęgą, bo stanowią ogromne masy. Rozumiem wielkie zastępy whigów i torysów — ale ci nasi przeróżni *ści*, te społeczne atomy, które zatrzymują się w podziale dopiero wtedy, gdy dojdą do jednostki, te meszyce rozłażące się po drzewie życia... Przepraszam meszyce, one także mają swoje pory, kiedy tworzą słupy bujające w powietrzu... Nie, takich odosobnionych stworzeń, jak my, niema na świecie.

— Więc panu — rzekłem — musi imponować taka zorganizowana rzesza, jak centrum w parlamencie niemieckim, które składa się z arystokratów, demokratów, konserwatystów, radykałów, a mimo to występuje zawsze do walki karnie i łącznie.

— Ach, panie, to mój ideał! Ci ludzie, rozdzieleni przepaściami w swoich przekonaniach, a jednak wznoszący się po nad

te różnice dla osiągnięcia wspólnego celu — to szczyt dojrzałości społecznej.

— Jakże się rozwija założone przez pana koło nietzscheanistów?

— Ma już tylko trzy szprychy, a niedługo się rozleci całkiem. Było nas początkowo siedemnastu; naprzód oddzieliło się pięciu, którzy twierdzili, że Nietzsche doszedł do swej teoryi dzięki domieszce krwi słowiańskiej, co inni uznali za paradoks, potem ośmiu oświadczyło, że zasada Nietzschego: „sei hart,“ nie może być zastosowana u nas bez zastrzeżeń; jeden pokłócił się z nami o wyższość rasy anglo-saskiej nad innemi, a śród nas trzech zgoda już zaczyna pękać, bo ja nie mogę utrzymać harmonii z moimi towarzyszami...

— Cóż panów dzieli?

— Drobiazg, ale znaczący: niech pan sobie wyobrazi, że niby poważni ludzie noszą spodnie z podpinkami.

— O!

— Patrzyłem przez szpary na ich zamiłowanie do konnej jazdy, ale te podpinki!..

— Jakież pan teraz założysz stronnictwo?

— Dosyć! Już mi się sprzykrzyło to drutowanie stłuczonych garnków.

— Mam nadzieję, że i tym razem energia pańska odzyska swą sprężystość.

— Może, ale nie prędko. Czy pan słyszał, iż partya fioletowych masonów już się pruje?

— Nie wiedziałem nawet o jej istnieniu.

— Nic dziwnego, żyła zaledwie trzy tygodnie. Poprostu dzieciaki. Chcieli odbyć zbiorową pielgrzymkę do Hauptmanna, ale pokłócili się o to, którą klasą jechać. Powiedziałem jednemu z nich: jeżeli dla zjedzenia bułki z masłem rozkrawam ją i smaruję tylko jedną połowę, nie mogę współdziałać z człowiekiem, który smaruje obie. Albo trzeba przystawać do siebie we wszystkich punktach, albo się nie łączyć. To jest moja zasada.

— Najsłuszniejsza — whigowsko-torysowska.

— U nas trzeba być jeszcze ściślejszym w doborze. Secesya jest wielkiem hasłem XIX wieku. Może to ktoś nazwać warcholstwem, manią różniczkowania się, dla mnie jest to wielki proces chemiczno-społecznego rozkładu na pierwiastki dla wytworzenia kiedyś nowych, nieznanych związków.

— Czy pan nigdy nie czuł potrzeby dokonania secesyi z samego siebie?

— To niemożliwe.

— Czemu nie? W każdym ucywilizowanym człowieku jest kilku pokłóconych ludzi; dlaczegóżby więc oni nie mieli się rozwijać i założyć własnych stronnictw, składających się tylko z nich?

— Rozumiem subtelność pańskiej uwagi. Otóż do pewnego stopnia już się to odbywa, przynajmniej ja w sobie dostrzegam taki rozpad. Pod jednym względem należę do konserwatystów, pod innymi — do postępowców, radykałów, kosmopolitów, patryotów, modernistów, dekadentów, symbolistów itd. Największem mojem marzeniem jest znaleźć się w wielkiem stronnictwie, w rodzaju whigów, torysów lub centrum, któreby pomijało zupełnie szczegółowe różnice i sprzeczności między swymi członkami i spajało ich wspólnymi węzłami jakiejś idei. Ale my nie wyrobiliśmy w sobie jeszcze dobrego materyału dla takiej organizacyi. Co mi się zdarzyło np. wczoraj. Siedzę sobie w cukierni i tłomaczę dwom znajomym konieczność utworzenia partyi rymowania wierszy na początku, zamiast na końcu. Zgadzamy się, że byłaby to reforma epokowa w poezyi, ale nagle Jerzy Fidibus (pseudonim) wyrywa się z żądaniem:

— Według mnie, należałoby wprzódy rozstrzygnąć, jakie brzmienia w naszym języku odpowiadają wyrazom: żółty, bęben, waryat i innym, które nie posiadają swoich rymów. Bo czy będziemy rymowali na początku, czy na końcu, w każdym razie jest to oburzającem, ażeby poeta musiał koniecznie wyrazy: żółty, bęben itp. wstawiać w środek wiersza. Nie chcąc odrazu wywoływać rozterki, ustąpiłem co do *żółtego*, bo rzeczywiście bez tego przymiotnika poezya nie może się obyć, ale po co jej *bęben* i *waryat!* Ale kto zmoże warchoła! Przyszło do kłótni, w której on mnie przezwał bębnem, a ja jego waryatem — i dyabli wzięli już prawie gotową partyę przednich rymów.

Tu Jan Soliter spojrzał na zegarek, pożegnał mnie szybko i wybiegł prawdopodobnie dla podjęcia starań około nowego stronnictwa lub wywołania nowej secesyi. Dzielny człowiek.

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

PRZYCZYNEK DO ANTROPOLOGII KRAJOWEJ.

(Powiat Płoński).

Coraz bardziej prasa nasza w ostatnich czasach zaczyna zachęcać czytelników swoich do poznawania kraju ojczystego, do zwiedzania okolic, wsławionych czy to przez jakieś wybitne zdarzenia z naszej przeszłości, czy też znanych ze swej piękności przyrodzonej. Znaleźli się nawet ludzie, którzy zaczęli już opracowywać odpowiednio dla turystów przewodniki. Sądząc, że dla człowieka, niewyrzekającego się związku z całem naszem społeczeństwem, mogą być ciekawe, poniekąd nawet niezbędne wiadomości dotyczące nietylko wznoszących się w naszej krainie gór, rosnących na nich lasów, płynących lub stojących wód, wreszcie zbudowanych przez naszych przodków gmachów, ale i mało dotąd uwzględniane wiadomości co do stanu fizycznego, moralnego i położenia ekonomicznego zamieszkującego owe góry i płaszczyzny ludu, podajemy nieco danych, dotyczących tego ostatniego. Żałuję niezmiernie, że nie mogę podać odpowiednich wiadomości z całego naszego kraju, lecz ograniczyć się muszę zakątkiem, przeze mnie lepiej poznanym i zbadanym — wolę jednak mówić tylko o tem, co chociaż jako tako znam, niż wyrokować o całości na zasadzie kilku pojedynczych faktów, lub też na zasadzie kilku wrażeń, zebranych podczas podróży, które, o ile się mogłem przekonać sam na sobie, bardzo często niezmiernie fałszywie informują nas o rzeczywistości.

Korzystając z gotowego już opracowania pewnej części mych notatek, podaję w niniejszym artykule nieco cyfr, dotyczących rozwoju fizycznego rozmaitych kategoryj ludności powiatu Płońskiego i sąsiednich okolic. Oparłem je na 200 pomiarach chłopów i 200—chłopek, oraz na 100 pomiarach szlachty i 49—szlachcianek. Ażeby nie być zbyt rozwlekłym, podam z robionych przeze mnie wymiarów tylko cztery, a mianowicie wzrost, obwód piersi, wagę i kształt głowy; trzy pierwsze wymiary dają dosyć dokładne pojęcie o rozwoju fizycznym badanej ludności, czwarty zaś zainteresuje bardziej może tylko antropologów, podaję go jednak ze względu na często poruszaną kwestyę większej lub mniejszej dzielności fizycznej i umysłowej rozmaitych typów ludzkich. Dla objaśnienia dodać jeszcze muszę, że wzrost mierzyłem bez obuwia, boso, a wagę podaję po odliczeniu wagi ubrania.

Średni wzrost mężczyzn ludności wiejskiej nieszlacheckiej z okolic Płońska wynosi 167 centym., przewyższa tedy znacznie średni wzrost Polaków galicyjskich (162,2 według Majera i Kopernickiego), oraz włościan lubelskich i sandomierskich (164,9 i 161,7 według dr. Olechnowicza), mniejszy natomiast od wzrostu podanego dla powiatu płońskiego przez Strzelbickiego (169,4). Z ludów innego pochodzenia ustępuje ludność płońska co do wzrostu Szkotom, Anglikom, Irlandczykom, Belgom, Duńczykom i Niemcom (171,0, 170,8, 169,7, 168,4, 168,5, 167,7), a przewyższa Rosyan, Francuzów, Żydów i Węgrów (166, 165, 163,7, 163,1). Niskiego wzrostu (od 150—159,9) wśród chłopów płońskich było 10%, średniego (od 160—169,9)—59,5% a wysokich po nad 170 — 30,5%.

Średni obwód piersi chłopów wyniósł 89,2 centymetry. Mając wysokość wzrostu i obwód piersi jakiegoś osobnika, możemy określić t. zw. wskaźnik piersiowy, oznaczający stosunek rozwoju klatki piersiowej — a więc względnie i płuc do wzrost. Wskaźnik ten dla chłopów płońskich wynosi 53,42, więcej, niż dla Polaków galicyjskich (50,6 — Kopernicki) oraz dla młodzieży poborowej z Królestwa (52,03 — Goldstein). Z ludów innych ustępują chłopi płońscy co do wskaźnika piersiowego Szkotom, Anglikom i Niemcom (56,7, 54, 53,8), a lepiej są pod tym względem uposażeni od Rosyan i Francuzów (53,4, 53,0). Dla całego Królestwa Polskiego Strzelbicki podaje jako wskaźnik piersiowy 53,7. Jeżeli wskaźnik piersiowy poniżej 50 uznamy, jak to zwykle bywa, za dowód niedostatecznego, słabego rozwoju, wskaźnik zaś 54,00 i powyżej za dowód znakomitego rozwoju klatki piersiowej, to słabo rozwiniętych, z wązką klatką piersiową wśród chłopów płońskich znajdziemy 6,5%, a doskonale zbudowanych 39,5%, pozostałe zaś 54% należą do ludzi o średniej budowie ciała.

Średnia waga chłopa płońskiego wynosi 153,8 funtów, czyli 62,75 kilogramów, a więc znacznie mniej, niż dla Bawarów, Anglików, Francuzów i Amerykanów ze Stanów Zjednoczonych (65,8, 68,8, 64,9, 64,4), więcej zaś, niż dla Węgrów (60,7). Jeżeli za średnią możliwą jeszcze wagę będziemy uważali 140—159,9 funtów, to ludzi mało ważących wśród chłopów płońskich będzie 29%, a dużo ważących 28,5%. Dokładnej wagi chłopów z innych okolic naszego kraju podać nie mogę, gdyż posiadam tylko dane Strzelbickiego, według których średnia waga dla całego Królestwa równa się 73,5 kilogr., a dla płońskiego 72,6, co wydaje mi się nieco nieprawdopodobnem, gdyż jakkolwiek moja liczba dla wagi, jako otrzymana z ludzi, szukających porady lekarskiej, jest stanowczo niższą od wagi średniego człowieka zdrowego, to jednak według moich kombinacyj i obliczeń różnica ta nigdy nie mogłaby wynieść aż 10 kilogr., lecz co najwyżej 2,5—3 kilogr. Gdybyśmy przyjęli tę poprawkę za zgodną z rzeczywistością, to wtenczas ludność nasza co do wagi przewyższyłaby Francuzów i Amerykanów, a zbliżyłaby się do Bawarów.

Kształt głowy określamy za pomocą tak zwanego głównego wskaźnika czaszkowego, który wyraża stosunek odsetkowy pomiędzy szerokością a długością głowy. Jeżeli szerokość czaszki stanowi mniej, niż 78% długości, to kształt czaszki wydaje się wyraźnie podłużnym, a posiadacza takiej głowy nazywamy (podług Kopernickiego) długogłowym; jeżeli zaś szerokość czaszki stanowi 81% długości, to taką głowę nazywamy krótką, a jej posiadacza — krótkogłowym; posiadaczom czaszek pośrednich nadajemy nazwę średniogłowych.

Średni wskaźnik czaszkowy główny dla naszej ludności chłopskiej wypadł jako równy 81,74, a więc mniej, niż dla podhalan, uważanych przez Majera i Kopernickiego za typowych Polaków, jako też mniej niż dla ludu sandomierskiego i lu-

belskiego (85,3, 83, 82,6). Długogłowych wśród chłopów płońskich było 17,5% (w g. Sandomierskiej 7,5%, w Lubelskiej 10,4%, wśród podhalan 1,8%), średniogłowych 28,5% (w g. Sand., Lubel. i u podhalan — 15,1. 30 i 6%), a krótkogłowych 54% (w g. Sand., Lub. i u podhalan 77,1, 59,6 i 91%).

Jak widzimy więc, nie zabraknie nam jeszcze tego tak wysoko cenionego przez Lapouge'a i Winiarskiego typu długogłowego, który *jakoby jedynie był zdolnym* (według zdania Lapouge'a) do posuwania ludzkości na drodze postępu.

Średni wzrost chłopek płońskich wynosi 154,7 centymetrów, zatem więcej, niż w g. Lubelskiej i Sandomierskiej (152 i 153,1 według Olechnowicza). Nizkich (od 140 do 149,9) było wśród chłopek 18,5%, średnich do 159,9 — 67%, a wysokich 14,5%. Różnica pomiędzy wzrostem chłopów a chłopek wynosi 12,3 centym.

Średni obwód klatki piersiowej dla kobiet równa się 81,2 cent., a średni wskaźnik piersiowy — 52,48, znacznie więc mniej, niż dla mężczyzn. Odpowiednio do ogólnie słabszego rozwoju klatki piersiowej kobiet-chłopek znajdujemy też pomiędzy niemi znacznie większy procent słabo rozwiniętych, bo aż 14% i mniejszy, niż wśród mężczyzn z doskonale zbudowanemi piersiami, bo tylko 29,5%.

Średnia waga kobiet płońskich wynosi 131,4 funt., czyli 53,61 kilogramów, a więc o 22,4 funt. mniej, niż dla mężczyzn. Jeżeli za średnio ważące kobiety uznamy te, których waga wynosi od 120 do 139,9 fnt., to mało ważących wśród badanych przeze mnie kobiet będziemy mieli 24%, średnio ważących 48,5%, a dużo ważących 27,5%. Cyfry te, jak widzimy, mało różnią się od otrzymanych dla mężczyzn. Niestety, wagi kobiet płońskich nie mogę porównać z wagą kobiet innych okolic naszego kraju, bo danych odpowiednich albo wcale niema, albo też może ja tylko ich nie posiadam.

Średni wskaźnik czaszkowy dla chłopek płońskich wypadł jako równy 81,73, a więc prawie taki sam, jak i dla chłopów-mężczyzn, stosunek jednak długogłowych do krótkogłowych wśród chłopek okazał się nieco innym, gdyż pierwszych było tylko 11%, a drugich 58,5%, pośredniogłowych zaś też więcej, niż wśród mężczyzn, gdyż gdyż 30,5%. Wśród włościanek lubelskich długogłowych było 4,7%, pośredniogłowych 15,2%, a krótkogłowych 80,1%; w pow. Sandomierskim długogłowych 1,6%, pośredniogłowych 33,9% i krótkogłowych 64,3%.

II) *Szlachta. Średni wzrost szlachty mężczyzn* z płońskiego wynosi 169,4 ctm., znacznie więc mniej, niż wzrost szlachty lubelskiej, która według dr. Olechnowicza okazuje wzrost 173,4 ctm. Różnica ta okaże się znacznie mniejszą, jeżeli z liczbą dr. Olechnowicza porównamy wzrost płońskiego tak zwanego obywatelstwa, to jest tej szlachty, której ojcowie posiadali już całe wioski — gdyż wzrost tej ostatniej kategoryi (płońskiej szlachty) wynosi 171,2. Większość, bo 83%, mierzonej przeze mnie szlachty należy do tak zwanej, licznie w płońskiem osiadłej, szlachty zagonowej. Nizkich wśród szlachty płońskiej naliczyłem 5%, średnich 49%, a wysokich 46%. Wśród lubelskiej szlachty dr. Ol. naliczył nizkich tylko 3,3%, średnich 21,6%, a wysokich 74,1%.

Średni obwód piersi dla płońskiej szlachty wynosi 89,49, a średni wskaźnik piersiowy równa się 52,81, nieco więc mniej, niż dla mężczyzn chłopów. Odsetek słabo rozwiniętych wśród szlachty okazuje się znacznie większym, niż wśród chłopów, bo 16% wobec 6,5%, a dobrze zbudowani stanowią wśród szlachty zaledwie 32%, kiedy wśród chłopów 39,5%.

Średnia waga szlachty równa się 164 funtom, czyli 66,9 kilogramom, a więc całe 10 funtów więcej, niż dla chłopów. Mało ważących wśród szlachty znajdujemy mało, bo tylko 12%, dużo zaś ważących prawie dwa razy tyle, niż wśród chłopów, bo 55% (wobec 28,5%). Jeżeli obliczymy osobno średni wskaźnik piersiowy i średnią wagę dla zamożniejszej szlachty płońskiej — czyli tak zwanych obywateli, to otrzymamy dla pierwszego liczbę 53,85, (a zatem więcej nawet, niż dla chłopów), a jako średnią wagę — 183 funty, czyli 74,6 kilogramów, (liczba zbliżona do podawanej jako średnia waga Polaków przez p. Strzelbickiego).

Średni wskaźnik czaszkowy dla szlachty płońskiej 82,62, znacznie więcej, niż dla płońskich chłopów; wskaźnik ten jednak jest znacznie mniejszym, niż u szlachty lubelskiej (83,8, dr. Ol.). Długogłowych śród płońskiej szlachty mamy 11%, średniogłowych też 11%, a krótkogłowych 78%, pod tym względem więc znajdujemy stosunki zupełnie inne, niż wśród chłopów. Pośród szlachty lubelskiej długogłowych dr. Olechnowicz nie zauważył wcale, pośredniogłowych 21,6%, a krótkogłowych 78,4%, a więc prawie tyle, ile i wpośród szlachty płońskiej.

Średni wzrost szlachcianek płońskich wypadł mi z 49 spostrzeżeń, jako równy 155,6 centymetrom, o 1 centymetr więcej, niż wzrost chłopek, a 4,8 centymetra mniejszy od wzrostu lubelskich szlachcianek (160,4 z 36 spostrzeżeń dr. Olechnowicza). Niskich wśród płońskich szlachcianek było 14,3%, średnich 65,3%, a wysokich 20,4%. Różnice pomiędzy szlachciankami płońskiemi a lubelskiemi zależą prawdopodobnie od tych samych przyczyn, co i pomiędzy szlachtą-mężczyznami.

Średni obwód piersi szlachcianek wynosi 80,26, a odpowiedni wskaźnik piersiowy 51,59. Znacznie więc mniejszy, niż dla chłopek; zgodnie z tem wśród szlachcianek mamy więcej, niż wśród chłopek, słabo rozwiniętych — bo aż 26,5%, i mniej doskonale zbudowanych, bo tylko 20,4%. 53,1% stanowią osoby o średniej budowie ciała.

Średnia waga szlachcianek równa się 134 funtom, czyli 54,67 kilog., a więc o 2,6 funta więcej, niż waga chłopek. Mało ważących było 12,2%, średnio 59,2% a dużo ważących 28,6%. Jak widzimy pod względem wagi szlachcianki tak jak i szlachta-mężczyzni lepiej się przedstawiają, niż chłopi.

Średni wskaźnik czaszkowy płońskich szlachcianek wypadł mi jako równy 83,65 a więc znacznie więcej, niż dla chłopek, lecz mniej, niż dla szlachcianek lubelskich (z 36 pomiarów dr. Olech. — 84,4). Długogłowych wśród płońskich szlachcianek naliczyłem 4,1%, pośredniogłowych 20,4%, a krótkogłowych 75,5%. Widzimy więc, że i wśród szlachty tak jak i wśród chłopów ilość długogłowych wśród kobiet jest znacznie mniejsza, niż wśród mężczyzn. Wśród szlachcianek lubelskich dr. Ol. naliczył długogłowych 3,1%, podłużnogłowych 3,1%, a krótkogłowych aż 93%.

Ażeby sobie lepiej uprzytomnić i zestawić to, co powyżej przytoczyliśmy podaję poniżej umieszczoną tablicę.

Jeżelibyśmy na zasadzie powyższych danych obliczyli, ile na 1 ctm. wzrostu wypada dla każdej z wymienionych dopiero co 4 kategoryj-gramów wagi i ile centymetrów obwodu, to otrzymamy dane, wskazujące na stopień odżywiania ciała, a właściwie zbitości tkanek organicznych i rozwoju klatki piersiowej bez względu na różny wzrost badanej ludności. Dane te przedstawiają się w sposób następujący:

U chłopów na 1 cent. wzrostu wypada 376 gr. wagi i 0,534 cent. obwodu piersi, u szlachty 395 gr. i 0,528 cent., u chłopek 347 gr. i 0,525 cent., u szlachcianek 351 gr. i 0,516 cent. Nawiasem zauważymy, że na 1 cent. wzrostu Hiszpanie okazali tylko 364 gramy wagi, Anglicy 366, Szkoci 370, Irlandczycy 371, Francuzi 372, Niemcy 376, Skandynawowie 382, a Indusi 422, dla Polaków wogóle p. Strzelb. podał aż 437, liczbę, której prawdopodobieństwo znów mi się wydaje nieco podejrzanem.

Z wyżej przytoczonego zestawienia wywnioskować możemy po 1) że ludność polska okolic Płońska pod względem rozwoju fizycznego przedstawia się nieźle, zarówno pod względem wzrostu i budowy klatki piersiowej, jak i pod względem wagi; po 2) co do ilości gramów na 1 cent. wzrostu ludność nasza wiejska najbardziej się zbliża do bezpośrednich naszych sąsiadów Niemców, szlachta zaś znacznie przewyższa inne badane pod tym względem narody europejskie; po 3) że szlachta różni się wogóle od chłopów większą krótkogłowością (wbrew temu, co widzimy w zachodniej Europie), wyższym wzrostem i wyższą wagą, lecz za to słabszym rozwojem klatki piersiowej; 4) waga szlachty jest wyższą a rozwój klatki piersiowej jest niższym nietylko względnie ale i bezwzględnie, czego dowodzi i obliczenie wagi i obwodu piersi na 1 cent. wzrostu, 5) że procent słabo zbudowanych co do klatki piersiowej wśród szlachty jest znacznie większy, niż wśród chłopów: 6) że wreszcie kobiety i u szlachty i u chłopów odznaczają się znacznie mniejszym wzrostem, okazują też mniejszy procent długogłowych oraz mniejszą wagę, słabszy rozwój klatki piersiowej—i to względnie i bezwzględnie. Przytoczone pod 3 i 4 wyniki objaśnić sobie możemy lepszem odżywianiem wskutek znaczniejszej zamożności szlachty przynajmniej co do wzrostu i wagi, słabszą zaś budowę klatki piersiowej szlachty objaśnić bym sobie tylko mógł chyba też tą samą większą zamożnością warstw szlacheckich, która pozwala szlachcie mniej pracować, (miejsze zapotrzebowanie tlenu a więc i powietrza zużywanego przy pracy fizycznej), oraz na lepsze pielęgnowanie i utrzymanie przy życiu nawet słabiej z urodzenia uposażonych dzieci, które wśród ciężkich warunków chłopskiej doli zapewne zginąć by musiały w walce z tak często panującemi po wsiach chorobami.

Być może, że odgrywają tu pewną, prawdopodobnie jednak nieznaczną rolę, przypuszczane przez niektórych badaczy nieco odmienne pochodzenie szlachty, czemu nasze wyniki nie przeczą, boć, bądź co bądź kształt głowy naszej szlachty jest nieco odmiennym od kształtu głów chłopskich, a wzrost, uważany przez Ripley'a, za jedną z najstalszych oznak antropologicznych, dla chłopów i dla szlachty również nie jest jednakowym; lecz tych kwestyj nieliczne, chociaż zgodne, badania—

Wzrost	% Ni[illegible]	[illegible]	% Wysokich	[illegible]	[illegible]	[illegible]	% D[illegible] bud[illegible]	[illegible]	% M[illegible]	[illegible]	[illegible]	[illegible]	% Dł[illegible]	[illegible]	% Krótk[illegible]
1) Chłopi:															
167,0	10	59,5	30,5	*53,42*	6,5	54,0	39,5	*62:75*	29,0	42,5	28,5	*81,74*	17,5	28,5	54.0
2) Szlachta mężczyźni															
169,4	5,0	49,0	46,0	*52,81*	16,0	52,0	32,0	*66,90*	12,0	33,0	55,0	*82,62*	11,0	11,0	78.0
3) Chłopki.															
154,7	18,5	67,0	14,5	*52,48*	14,0	56,5	29,5	*53,61*	24,0	48,5	27,5	*51,73*	11,0	30,5	58.5
4) Szlachcianki															
155,6	14,3	65,3	20.4	*51,59*	26,5	53,1	20,4	*54,67*	12,2	59,2	28,6	*83,65*	4,1	20,4	75.5

szlachty i chłopów, dotąd chyba rozstrzygnąć nie mogą; co do wzrostu i wagi, to mogę zanotować, że najwyższe średnie liczby otrzymaliśmy i wśród szlachty i wśród chłopów dla klas najzamożniejszych, gdyż dla obywateli 171,2 cent. i 183 funty wobec średnich dla całej szlachty 169,4 i 164 fun., a dla tak zwanych gospodarzy (zamożnych chłopów mających po włóce lub po półtorej włóki na dawnych królewszczyznach) 170,3 cent. i 159,7 fun. (55 spostrzeżeń) wobec 165,8 cent. i 145,2 fun. dla małorolnych włościan (50 spostrz.). I tę ostatnią jednak różnicę wytłomaczyć by mógł dr. Piekosiński odmiennem pochodzeniem mieszkańców królewszczyzn, których krakowski profesor uważa za potomków pierwotnych — czystej rasy Polaków, tymczasem kiedy włościan i wogóle mieszkańców wsi dworskich-szlacheckich uważa za potomków jeńców wojennych i innych żywiołów napływowych.

Dr. Leon Rutkowski.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Jan Augustynowicz: *Ksiądz Prot.* Warszawa, 1900.

Powieść p. Augustynowicza, odznaczono na konkursie *Głosu*. Jakkolwiek odznaczenie to przypomina nam jedynie tę okoliczność, że wśród kilkudziesięciu utworów bez żadnej wartości w tym wynaleziono niejakie zalety (wynik konkursu był ujemny), „Ksiądz Prot“ przecież zasługuje na pewne wyróżnienie, jako dzieło pisarza po raz pierwszy występującego na widownię literacką, a usiłującego głębiej wejrzeć w sprężyny życiowe. Przedmiot powieści ten sam, co w „Jocelynie“ Lamartina, lub raczej w dziele Zoli: „Błąd ks. Mureta“: idealny ksiądz i kobieta na jego drodze. Oryginalną stronę utworu p. Augustynowicza stanowi tło, na które rzucił postać swego bohatera — środowisko niższego duchowieństwa, wiejskiego i małomiasteczkowego. Charakterystyka autora jest, naogół biorąc, nieprzychylna. Nie spotykamy tu jakichś okropności, wołających o pomstę do nieba, lecz drobne grzechy, małe samolubstwa, ograniczone widnokręgi, mechaniczne wykonywanie chlebodajnych obowiązków. Na takiem tle ma odbijać się z większą wyrazistością postać ks. Prota: a im szczytniejsze jest jego pojęcie o swem powołaniu, im szlachetniejszym jest, tem boleśniejszy dramat uciskać mu będzie serce. W szczuplejszym obrębie przeciwieństwo między bohaterem a środowiskiem jego uwydatnia się w walce, toczącej się między nim a proboszczem Chwalkiewiczem o dobro parafian. Nie chwali się ks. Chwalkiewiczowi, że jest zjadaczem chleba w duchownej sukience, że obowiązki swe ciasno rozumie i nie dba o nie, że w sercu jego gości zawiść zamiast miłości chrześciańskiej, iż wint jest dlań najwyższą rozkoszą duchową itd. Lecz... autor własnowolnie obniża wrażenie. P. Aug. lubi myśleć za czytelnika i mówi *wszystko*, a to „wszystko“ wywołuje nieraz wzruszenie ramion i budzi poczucie płaskości obrazu, pod którego powierzchnią nie możemy się domyślać żadnej głębiny. Oto np. pierwsze poznanie się nasze z ks. Chwalkiewiczem. Proboszcz Załomunicki „w przystępie niewytłomaczonego humoru pozwolił sobie na spełnienie niebywałej dotąd niestosowności, do czego normalnie nie śmiałby się nigdy posunąć... śmiejąc się, trzepnął konfidencyonalnie wikarego w nadkolanie, poczem bez najmniejszego (o, zgrozo!) skrupułu śmiał się dalej...“ Prot oburzył się... Wolno mu, ale z jakiego powodu oburza się autor? Mój Boże, cóż się stało? Ks. proboszcz jest widocznie rubasznym i sangwinikiem, należy zapewne do naszej rasy. Grzech ciężki, ale musimy wybaczyć go sobie. A nawet ks. Chwalkiewicz wcale nieźle się nam przedstawił, ponieważ na drwiący uśmiech Prota (bo hałasowało przed chwilą księżysko!) odpowiedział dobroduszną i szczerą, choć jaskrawą wesołością. Nic rozbraja to ani wikarego, ani autora. „Ach, jakiem się to wszystko pospolitem, płaskiem, trywialnem Protowi wydało! I losy ślepe go tu zagnały... Prostacza natura proboszcza raziła go — jego, wyrafinowanego i przerafinowanego subtelnika.“ Wreszcie postać Chwalkiewicza zaczyna w Procie budzić „poważne refleksye.“ W całej tej sprawie „przerafinowane subtelnictwo“ Prota oddawna już zaczęło budzić w czytelniku „poważne refleksye.“ Wiele hałasu o nic!

To nadawanie rozmiarów zbyt wielkich rzeczom błahym widnieje również w kompozycyi utworu, nie tylko w poszczególnych ustępach — choć i tych lekceważyć nie można, bo one nadają koloryt całemu dziełu. Co jest głównym powodem nieporozumień pomiędzy wikarym a jego zwierzchnikiem? Oto ks. Prot chciałby odnowić kościół parafialny, proboszcz zaś sądzi, że nie jest to sprawa nagła. Ks. Chwalkiewicz był zbyt ociężałym i niedbałym i niema dlań okoliczności łagodzących, ale... przedmiot sporu nie przyspieszy nam uderzeń serca, a ks. Prot ani na bohatera, ani na „przerafinowanego subtelnika“ w oczach naszych nie wyrośnie. Po za tą sprawą, która na czas jakiś staje się osią powieściową, słyszymy coś niecoś o świętości Prota... No, niechybnie, przecież tak często widzimy go z brewiarzem w ręku.

Zatargi owe między księżmi, wciągające w wir swój dość liczne koło osób świeckich i duchownych — to jedyne urozmaicenie głównej osnowy, nadzwyczaj prostej. Ks. Prot poznał pannę Niutę Komorowską, córkę zamożnego obywatela ziemskiego z okolicy. Następuje walka z uczuciem, później poddanie się. Czynna rola przypadła pannie. Wreszcie ostateczny przełom. Ks. Prot cofa się z sercem skrwawionem, a gdy jęcząc błaga litości i pomocy u Zbawiciela, tuż obok rozlegają się ziemskie, bardzo ziemskie głosy odpustowej uciechy zobranych u proboszcza biesiadników... W przebiegu tego dramatu jest dużo linij niedociągniętych, lub odwrotnie — przeciągniętych. Pomijam drobniejsze szczegóły chybione, jak np. słabe uprawdopodobnienie bliższego zetknięcia się Niuty i Prota. Nie jest wszakże drobnym szczegółem okoliczność, iż uczucia ich są zanadto obcesowne. Gwałtowność pociągu Prota względem młodego dziewczęcia, łatwo zresztą się tłomaczy dotychczasową jego czystością, wyłącznem pochłonięciem sił umysłowych przedmiotami powołania. Ziemskich swych popędów na zdawkową monetę nie rozmieniał. Atoli wyłącznie zmysłowy koloryt, nadany przez autora stosunkowi młodej pary, wzbudza w czytelniku pewne powątpiewanie, czy to uczucie naprawdę mogło uledz zindywidualizowaniu do tego stopnia, iżby się przeobraziło w tragiczny wyrok losu, druzgoczący dwa serca? O bujnie rozwiniętych kształtach panny Niuty, o jej wczesnem fizycznem rozwinięciu i ognistym temperamencie słyszymy dość: Prot ledwie spojrzał na „przepyszne ciało młodej, dojrzałej dziewczyny, uwydatnione obcisłą suknią,“ już mu krew wpłynęła falą do głowy, chociaż „dawno zapomniał, że orle loty młodości szybują po nad czem więcej, jak modlitwa, cichy obowiązek i spokój sumienia.“ Nieszczególny styl i nieszczególne pojęcie o „orlich lotach.“ A panna Niuta za drugiem czy trzeciem widzeniem się z młodym księdzem myśli o nim: „Ten śliczny chłopak, ten przemiły mężczyzna.“ Pilno jej było zakochać się... Dość tego, by pobudzić zmysły; za mało, by stworzyć dramat. Za mało jeszcze z tego względu, że ukrytych wewnętrznych walk w duszy Prota domyślać się chyba musimy; autor zapewnia, iż się odbywały... Nie stanowiły atoli przeszkody do odprawiania mszy wysiadywania w konfesyonale itp., i to „bez skrupułu.“ Prot na współkę z autorem zapomnieli o przerafinowanem subtelnictwie... Stosuje się ono snadź wyłącznie do hałaśliwego śmiechu...

Uśpione sumienie obudziło z drzemki kazanie jednego z księży, przybyłych na odpust do Załomuniec. Nieostrożnym był autor, przytaczając je w całości, bo w oczach naszych miarą wrażenia, które kazanie wywarło na bohatera, będzie nasze własne.

Otóż autor w bardzo tylko nieznacznym stopniu osiągnął swój cel. A co powiedzieliśmy o końcowym akordzie dzieła, powtórzyć to musimy o samym że dziele. Podwójnym dramatem ks. Prota (względem otoczenia i kobiety) czytelnik się nie przejmie, więc i utwór głębszego znaczenia mieć nie może, dalszych widnokręgów nie wskazuje i po nad przeciętną miarę się nie wznosi. Dla zachowania słusznej miary należy nam jednak wspomnieć o dodatnich stronach powieści, która bądź co bądź nie nudzi nas, acz gniewa czasami. Czy talent p. A. rozwinie się kiedy w kierunku analizy psychologicznej i filozoficznej — rozstrzygnięcie tego pytania zostawmy przyszłości. Obecnie w uzdolnieniu jego przeważają pierwiastki wyobraźni plastycznej. Charaktery ciosane zgruba i dosadnie, niekiedy zarysowane jeden po drugim w stosownych położeniach, przesuwają się przed nami, tworząc barwne kombinacye. Postacie swe umie autor wprawiać w żwawy ruch przy prostych stosunkowo liniach kompozycyi. Zdarza się mu niekiedy namalować wcale ładny krajobraz. Jednego tylko powinien się wystrzegać — przydługich komentarzy. Należy przecie zostawić coś domyślności czytelnika.

A. Drogoszewski.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

HISTORYA. „Dzieje powszechne ilustrowane“ opracowane przez Cz. Pieniążka, H. Sawczyńskiego, A. Szczepańskiego i in. pod kierunkiem L. Kubali. Nakł. Fr. Boudy, Wiedeń. Zeszyty 331—340.

POWIEŚĆ. Marion: „Miraże,“ str. 414. Gebethner i Wolff.

DRAMAT. Kazimierz Gliński: „Dwie moce. Tragedya Piastowska, 1079 rok.“ — str. 159. Gebethner i Wolff.

— Gerhart Hauptmann: „Hannela.“ Przekład Maryi Konopnickiej. Wyd. II. Wł. Okręt.

MONOGRAFIE. Julian Klaczko: „Rzym i odrodzenie. Juliusz II,“ str. 415, c. 2 rb. 80 kop. Wł. Okręt.

SZTUKA. „Album sztuki polskiej.“ Serya I. Wystawa retrospektywna w Warszawie 1898 r. Opracował H. Piątkowski. Zeszyty VI i VII. Cena w prenumer. za 12 zesz. 10 rb. Aret.

HYGIENA SPOŁECZNA. Dr. med. T. Kornig: „Komu nie wolno się żenić?“ zarys popularny. Przekł. z niem. dr. W. Chodźkl. Orgelbrand.

SŁOWNIKI. „Od Wydziału słownictwa technicznego przy stowarzyszeniu techników w Warszawie,“ str. 16. Wskazówki dla pragnących wziąć udział w opracowaniu prawidłowego słownictwa technicznego polskiego.

FIZYOLOGIA. A. Wyczółkowska: „O iluzyach optycznych“ (dlaczego nie „złudzeniach?“), str. 31, z 14 rycinami. Nakł. Akad. umiej. w Krakowie.

POEZYE

ZWĄTPIENIE.

Przemknęło lekkie, jako wędrująca
Chmura, co w polu ciemną rzuca plamę.
Ciche—jak poszept, co o serce trąca,
Zanim wyraźniej zabrzmią słowa same.
Upadło zdradnie trucizny drobiną
W czarę, co miała ugasić pragnienie,
Wokoło serca zwiło się gadziną —
Zwątpienie!

Przyszło, o chwili samotnej i mglistej,
Gdy zórz wyśnionych gasły malowidła,
Gdy ptak natchnienia w objęciach artysty
Umierał, wlokąc połamane skrzydła!
Legło na gruzach upojeń i szału,
Jak wielkie życia, ostatnie znużenie.
Dzban ożywczego druzgocąc kryształu,
Zwątpienie!

Tchnęło na ducha niszczącym samumem
W chwili, gdy z młodej, szczerej piersi dzwonu
Srebrny dźwięk serca przeleciał nad tłumem
I umilkł w próżni—bez bratniego tonu.
I uderzyło falą, co z kotwicy
Łódź zrywa—gnając na długie błądzenie,
By na pustynnej osadzić ławicy —
Zwątpienie!

Si-re-do.

SPRAWY EKONOMICZNE

RURAL EXODUS.

VI.

Od czasu do czasu czytamy w dziennikach: „na kolei zawakowała posada dróżnika, zarząd otrzymał sto kilkadziesiąt podań; wcale nie sposób objaśnić, dlaczego wyrobnicy tak się garną do tej ciężkiej (np. w zimie) służby, bez widoków awansu, bez towarzystwa ludzkiego; chyba, że przyjąć pod uwagę ów kawałek ziemi, który każdy dróżnik otrzymuje; praca na roli własny kartofel, własnej plantacyi burak albo głowa kapuściana — oto chyba magnes, co przyciąga na świeże, wiejskie powietrze robotnika miejskiego." Nam się również zdaje, że dziennikarz ma racyę, a jednocześnie w tem jego spostrzeżeniu odważamy się widzieć wcale poważne źródło środków leczniczych na trapiącą nas bolączkę emigracyi. I pod tym względem wolno nam korzystać z doświadczenia Zachodu.

Niejednokrotnie omawiano już w naszej prasie prawo pruskie o włościach rentowych (1890 i 1891) — nikt atoli nie pomyślał skorzystać z doświadczeń dzięki tej ordynacyi prawnej zdobytych. Od 1891 do 1898 roku przy udziale komisyj generalnych urządzających włości rentowe założono 7,824 osad, z liczby których 262 obejmowały powierzchnię mniejszą, niż 2¼ hekt. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że właściciele tych osad bez wyjątku wszyscy pracują po za domem, u sąsiednich właścicieli większych posiadłości, dla tej prostej przyczyny, że rozmiary ich własnej siedziby nie są w stanie ich wyżywić i nie przedstawiają dostatecznie wielkiego pola pracy dla nich i ich rodzin. Nie należy jednak zataić, że dane statystyczne powyższe są niezmiernie nikłe i nie pozwalają na wyprowadzenie wniosków poważniejszej a ogólniejszej natury. Prawo rentowe nie przyjęło się dotychczas w Niemczech, ludzie świadomi stosunków twierdzą, że jest ono nieodpowiednio zredagowane i nazywają je prawem martwem (totes Gesetz). Ale i po za tem są ślady pokrewnej działalności.

Radca regencyjny z Frankfurtu nad Odrą, *von Behr*, w pracy wygłoszonej na tegorocznym zjeździe stowarzyszenia, o którem mówiliśmy w poprzednich artykułach, opowiedział o kilku wypadkach, gdzie udało się kolonizacyę większych majątków ziemskich wyzyskać dla braku robotników wiejskich.

Na Pomorzu właściciel folwarku, obejmującego 580 hektarów, utworzył ze 120 hektarów 9 włości rentowych, z tych 9 osad siedem nie absorbują całego czasu swoich właścicieli i rodziny ostatnich znajdują zajęcie na folwarku głównym. Osadnicy przychodzą do roboty bez żadnego zobowiązania i za opłatą jaką otrzymują inni, pracujący w danym czasie na folwarku robotnicy, natomiast właściciel stara się zapewnić sobie ich pomoc za pośrednictwem różnych drobnych usług: na wiosnę sprzedaje im słomę i siano po cenach niższych od handlowych, pozwala korzystać ze stadników dworskich itd.; rozporządza obecnie dziewięciorgiem zdolnych i chętnych do pracy ludzi i zaprzestał zupełnie najmowania obieżysasów. Podobnie dzieje się i w pewnym majątku w prowincyi Brandenburgskiej, gdzie piątą część folwarku (100 h.) podzielono na 14 osad rentowych, których właściciele w dużej części pracują stale latem i zimą na folwarku, a jeden kolonista pełni obowiązki kowala dworskiego. Wywdzięczając się za korzyści, płynące ze stałej, nieprzerywanej służby, właściciel ofiaruje kolonistom t. zw. kolki (igliwie z lasu, używane na ściółkę), furmanki, konie do pługa i sprzętu w czasie żniw, sztuczne nawozy po cenach hurtowych, dobrze wyczyszczone ziarno do siewu itp. Z innego majątku na Pomorzu donoszą, że ośmiu podobnych kolonistów rentowych w czasie kopania kartofli dało głównemu folwarkowi 103 dni robocze.

Nie można dotychczas z działalności instytucyj kolonizacyjnych niemieckich wyprowadzić jakichkolwiekbądź ostatecznych wniosków, któryby pozwoliły nam uświadomić sobie korzyści w zakresie pracy roboczej. Prawo o włościach rentowych działa tam od tak niedawnego czasu i w tak wysokim stopniu przesiąknięte jest politycznym charakterem, że możemy zaledwie śmiało zaznaczyć tylko jego tendencye. A tendencye te bezsprzecznie wskazują na pożytek takiej kolonizacyi. Nie możemy dla braku miejsca rozpatrywać tutaj bliżej, jak kolonizacya taka dokonywaną być powinna, to jednak nie ulega żadnej wątpliwości, że obecna nasza, na szeroką już skalę traktowana parcelacya, w niezmiernie jeno dalekim stosunku znajduje się do takiej, która skutecznie, zajmującym nas tu potrzebom zaradzić by mogła. Praktykowana przez naszych właścicieli większych folwarków parcelacya ma na celu osobiste tylko zyski, najczęściej dokonywaną bywa pod groźbą subhasty, w strachu piekielnym przed smokiem wierzycieli. Chodzi tedy o to, ażeby ziemię swoją jaknajdrożej sprzedać. Gdzież tu mowa o jakiejkolwiekbądź polityce kolonizacyjnej, o zabezpieczeniu losu osadników, o tem wreszcie, aby z nowych, drobnych właścicieli można było wytworzyć zwartą falę siły roboczej, któraby sąsiednie większe folwarki użyźnić mogła a chciała?

Nie widzimy wcale, aby i instytucye finansowe, zajmujące się u nas dzisiaj parcelacyą większych folwarków zająć się mogły, chciały albo i umiały nawet—tak pojmowaną, rozumną, celową, społeczną kolonizacyą. Tu nie biurokratów potrzeba i nie kapłanów rachunkowości kancelaryjnej, jeno obywateli, co i lud i ziemię i pracę na roli miłują i z tych trzech czynników, za dodatkiem czwartego — „kapitału", ułożyćby potrafili formułę uszczęśliwienia większych włości, cierpiących na brak robotnika z jednej, a rzesze licznej bobyli, własnego warsztatu pracy łaknących, z drugiej strony. Każda część naszego kraju, każdy niemal powiat przedstawia taką różnolitość pod względem gleby, kultury, charakteru, przyzwyczajeń i potrzeb ludności, że każdy poszczególny wypadek kolonizacyi powinien znaleźć sobie uważnych, wytrawnych a przedewszystkiem zajęciu swemu szczerze a serdecznie oddanych badaczy. W roku zeszłym powstało w Berlinie stowarzyszenie z kilku podobnych ludzi złożone, które postawiło sobie za cel tak rozumianą kolonizacyę uskuteczniać. Po wielokroć już w prasie naszej opowiadano dziwy o wynikach pruskiej kolonizacyi, o celowym podziale gruntów, o kościołach, szkołach, ogrodach, urządzanych przez komisyę kolonizacyjną dla dobra osadników. „Bank ziemski" w Poznaniu trzyma się ściśle wzorów przez hakatyzm i drapieżność pruską stworzonych i rezultaty jego działalności są istotnie poważne, szacunek i zazdrość zarazem budzące. A jednak w kraju takiej działalności społecznej, odczuwać poczęto pewne zasadnicze, właśnie w promieniu uspołecznienia znajdujące się braki. Zawszeć wszystkie powyższe instytucye kolonizacyjne mają, może daleki, ale żywy interes kapitalistyczny na oku; parcelacya musi dać dochód, akcye muszą dać dywidendę. Otóż *Deutsche Ansiedelungsgesellschaft*, towarzystwo, o którem wspomnieliśmy wyżej, ma na celu parcelacyę majątków ziemskich bez wszelkich widoków dochodowych, li tylko dobro osadników mającą na względzie. Sądzimy, że i u nas znalazłoby się pole otwarte nie dla jednej, ale dla wielu takich finansowych instytucyj. Przed kilku laty mówiono wcale poważnie o Banku parcelacyjnym, któryby krajowe odłogiem leżące kapitały zużytkował dla celów kolonizacyi ziemskiej. Niewiadomo nam, dlaczego myśl ta usnęła. Podejmujemy ją na nowo, nadając jej inny cokolwiek, nie tyle finansowy, ile społeczny charakter. Nam bowiem nie o zyski chodzi bankierskie, jeno o dobro społeczne. A że chodzi tutaj również i przedewszystkiem o brak robotników rolnych, że zaś instytucya taka mogłaby biedzie publicznej zaradzić, tedy sądzimy, że z projektem naszym, do którego wrócić jeszcze niebawem przy innej sposobności sobie obiecujemy, nie pozostaniemy odosobnieni.

Zen. Por.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Lubelskie Towarzystwo dobroczynności ogłosiło 48 sprawozdanie swej działalności za r. 1899. Zakłady utrzymywane staraniem Tow. obejmują: 1) dom schronienia starców i kalek (pozostało w końcu roku 11 mężczyzn i 35 kobiet); salę sierot (42); 3) dwie ochrony (razem 55 dzieci); 4) przytułek św. Antoniego (21 dziewcząt); 5) kuchnie bezpłatną (wydała 22,280 obiadów); 6) dom zarobkowy (pracowało 12 mężczyzn dorosłych, 124 kobiety, 3 wyrostków, 48 chłopców i 50 dziewczynek); 7) kolonie letnie (cztery dla 162 dzieci); 8) wydział wsparć, 9) zabaw. Przychody Tow. wyniosły 11,667 rb., wydatkowano 12,387 rb. Majątek wynosi ogółem 67,000 rb. Członków rzeczywistych było 433. Prezesem był Eustachy Świeżawski.

— Gazety rosyjskie donoszą, iż wkrótce wyjdzie z pod pras drukarskich olbrzymie dzieło, opracowane przez ministeryum finansów p. t: „Rosya w końcu XIX wieku," opatrzone mapami, ilustracyami, tablicami itd. Redagował to dzieło dyrektor departamentu handlu i rękodzieł W. J. Kowalewski. Całość składa się z następujących dwunastu

oddziałów: 1) przestrzeń, ludność, ustrój państwowy Rosyi; 2) gospodarstwo rolne; 3) przemysł; 4) handel wewnętrzny; 5) handel zewnętrzny; 6) drogi i środki komunikacyi; 7) finanse i kredyt; 8) oświata ludowa i zdrowie ludu; 9) siły wojenne Rosyi; 10) francusko-rosyjskie stosunki handlowe; 11) meteorologia; 12) spis rzeczy. Wydawnictwo to przeznaczone jest na wystawę paryską, a udział w niem przyjmowali najwybitniejsi uczeni rosyjscy.

— W Villeneuve St. Georges odsłonięto pomnik znakomitego historyka francuskiego, Wiktora Duruy (Historya Grecyi i Rzymu). W Rouen zaś — pomnik Maupassanta.

— Bracia Lever, fabrykanci mydła w Manchesterze, wysłali swoich robotników (2,000 osób) na wystawę paryską. Przykład do naśladowania!

Szkoły. W Moskwie powstaje nowa instytucya naukowa — wyższe kursy dla kobiet. Koszta utrzymania pokrywane będą z kapitału zebranego prywatnie w ciągu lat kilku. Jednocześnie z organizacyą wyższych kursów powstaje Towarzystwo pomocy dla ich słuchaczek.

Wystawy i zjazdy. Od 5 do 9 września obradować będzie w Paryżu wielki międzynarodowy kongres kobiecy. Porządek dzienny obejmuje: 1) stronę ekonomiczną pracy kobiecej (płaca, czas pracy, zdrowie). 2) Moralność (jednaka moralność dla obu płci). 3) Sprawy wychowania 4) Prawo małżeńskie. 5) Publiczne prawa kobiet, zupełna wolność zawodowa.

— We wrześniu w Warszawie odbędzie się siódmy zjazd przedstawicieli telegrafistów i elektrotechników kolejowych.

— Dnia 6 lipca otwartą zostanie w Bagateli wystawa róż, owoców i warzyw, która trwać będzie trzy dni.

Dobroczynność. Wacław Mańkowski z gub. Podolskiej przeznaczył 100,000 rb. na urządzenie w Warszawie domu pracy dla małoletnich chłopców.

Odpowiedzi Redakcyi.

1900-mu. Utwór nie dla nas, raczej dla pisma humorystycznego.

A. P. Bez wartości. Mgliste ogólniki, upstrzone błędami językowymi.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава, 9 Іюня 1900 г.   Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.